



# FREEDLAND


JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU

Audiobook

# FREEDLAND

JEDNOAKTÓWKI  
PO ŚLĄSKU






**1. Maciej Sojka „Freedland”  
(pierwsze miejsce w konkursie na jednoaktówkę po śląsku 2013)**

Wykonawcy: Anna Guzik, Kamil Durczok, Andrzej Mastalerz

**2. Marcin Szewczyk „Świynto wojna”  
(trzecie miejsce w konkursie na jednoaktówkę po śląsku 2013)**

Wykonawcy: Anna Guzik, Piotr Bułka, Kamil Durczok,  
Andrzej Mastalerz, Mirosław Neinert



**3. Marcin Melon „Komisorz Hanusik i warszawiok”  
(drugie miejsce w konkursie na jednoaktówkę po śląsku 2013)**

Wykonawcy: Barbara Lubos, Kamil Durczok, Wojciech Leśniak,  
Mirosław Neinert, Dariusz Stach

Reżyseria: Ingmar Villqist | Realizacja: Radio Katowice  
Produkcja: Imago Public Relations oraz Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów



# FREEDLAND

Jednoaktówki po śląsku



# FREEDLAND

Jednoaktówki po śląsku

**iM!GO**  
PUBLIC RELATIONS

  
Instytucja Kultury  
**KATOWICE**  
Miasto Ogrodów

Redakcja:  
Waldemar Szymczyk

Projekt graficzny okładki:  
Katarzyna Kępa  
Na okładce wykorzystano zdjęcia istockphoto

Typografia i DTP:  
Wojciech Grzegorzycza

Realizacja:  
Stapis Katowice

Korekta:  
Grażyna Kwiek  
Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

ISBN 978-83-63304-97-3

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Copyright by Imago Public Relations  
oraz Instytucja Kultury Katowice – Miasto Ogrodów  
Katowice 2014



# SPIS TREŚCI

---

## **OD WYDAWCY** **7**

Rafał Czechowski

## **KYNS NASZEGO ŻYCIO** **9**

Waldemar Szymczyk

## **UDAŁO SIĘ** **11**

Ingmar Villqist

## **FOTOTAPETA Z WIDOKIEM NA ŚWIAT** **13**

Piotr Zaczkowski

## **JEDNOAKTÓWKI** **17**

## **FREEDLAND** **19**

Maciej Sojka

## **KOMISORZ HANUSIK I WARSZAWIOK** **27**

Marcin Melon

## **ŚWIYNTO WOJNA** **39**

Marcin Szewczyk

## **WOJNA Z TURKAMI** **50**

Lidia Michalska

**RAJCULA WARZY** 58

---

Alina Moś-Kerger

**OHEIM GRUBE** 65

---

Tomasz Niedziela

**POLDEK** 70

---

Gerhard Schneider

**ŻYCIE SINFONIMUZIKERÓW W OBERSZLIZIEN** 77

---

Ryszard Stoecker

**NIY URGEJ TAK, GOŁOMBKU,  
BO MI SERCE PYNKNIE,  
URGEJ MI TU INO GRYFNIE** 85

---

Grzegorz Sztoler

**BOJTEL Z LACIAMI,  
CZYLI STARO MIŁOŚĆ NIY RUŚCIEJE** 92

---

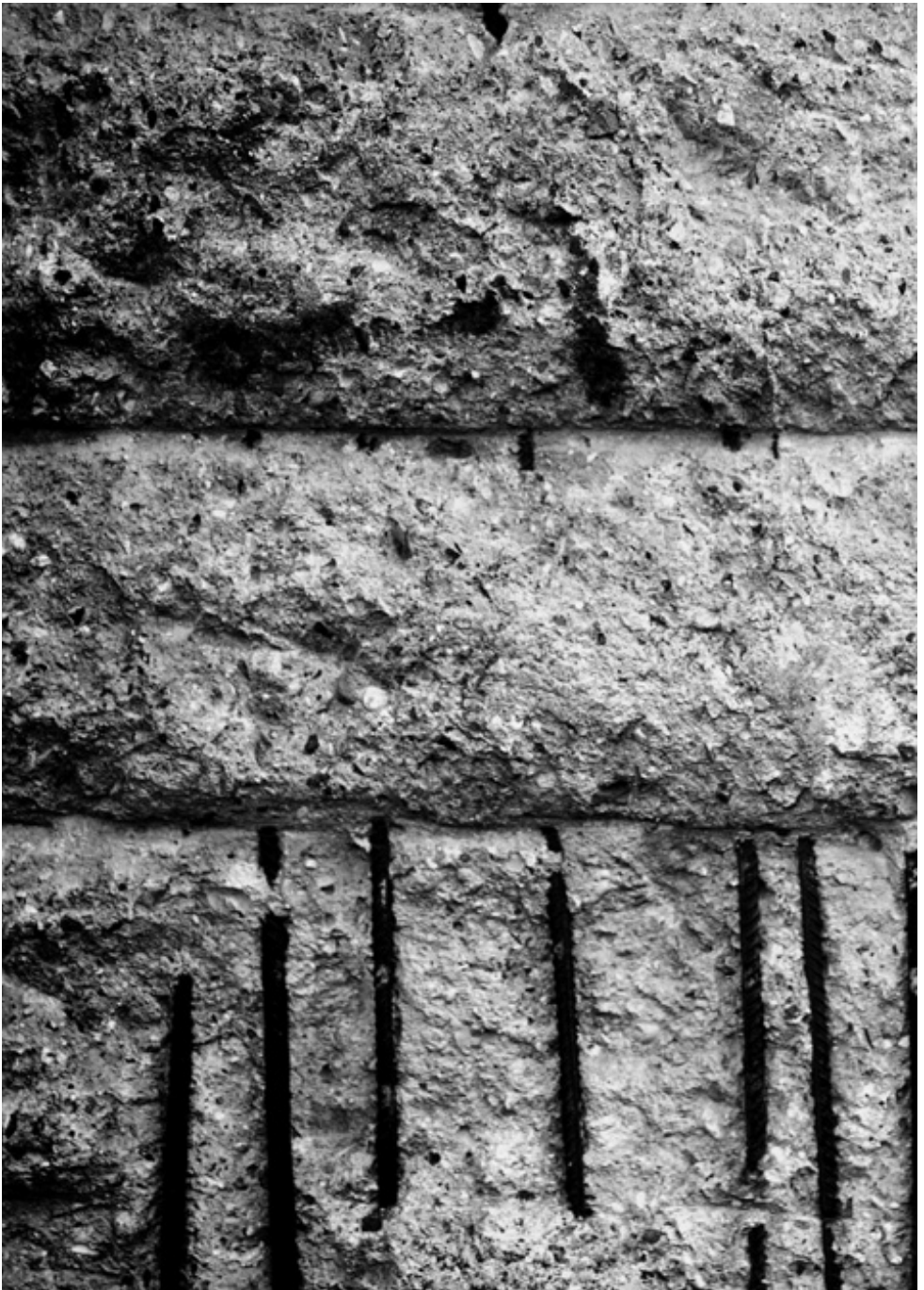
Jadwiga Zgorzelska

**Rafał Czechowski**

To wcale nie jest tak, że się musiało udać. Że pierwszy i drugi krok gwarantują postawienie trzeciego. Że zawsze dopełnia się triada, choć tak miła Bogu i estetycznie, kompozycyjnie pociągająca. Tymczasem trzymając w rękę tę książkę – a właściwie te książki, bo pozornie tylko dwie są deski okładek, w rzeczywistości są cztery, choć te drugie dwie obejmują treść okładką „widzialną” tylko dla ucha – obserwujemy, ba, doświadczamy jakiegoś zakrzywienia rzeczywistości. Bo jak inaczej, niż tłumacząc to istnieniem bytów równoległych, można zgodzić się z równaniem, w którym trzy równa się cztery! To możliwe w konkursie na jednoaktówkę po śląsku, w którym rokrocznie już kilkadziesiąt opowieści ujętych w krótką formę dramatyczną snuty jest w tym samym czasie, równoległe ożywa w wyobraźni pierwszych czytelników, a później często, coraz częściej, przybiera formę materialną na deskach teatrów. W takim otoczeniu trzeci tom antologii dramatów w jednym akcie, pisanych po śląsku, ma prawo objawić się w dwoistej formie w jednym momencie: w tej formie pierwotnej, w zapisie słowa, które w pełni uruchamia wyobraźnię czytelnika, oraz w formie noszącej już znamiona interpretacji, w aktorskim odczycie, w którym postaci nabierają pewnych cech odtwórców, choć i tu wyobraźnia słuchacza nie poprzężuje. Słowem – jako audiobook, czy raczej słuchowisko.

Tak więc trzeci tom antologii, ukazujący się na czas finału czwartej już edycji konkursu, wychodzi w podwójnej formie, i jakkolwiek poczytać można więcej, niż posłuchać (nagrane zostały trzy najlepsze jednoaktówki), przyjemność słuchania audiobooka jest wielka! Żywy język znajduje tu optymalną dla siebie formę, znakomici aktorzy w dialogach najlepszych autorów brzmią pysznie. Aż chce się słuchać po wielokroć, bo przecież jednoaktówka to nie jednorazówka.

Pisze na kolejnej karcie Ingmar Villqist, że autorzy jednoaktówek perfekcyjnie konstruują dialogi, bo posługują się swoim językiem. Wyraźnie to słyhać. Teraz tego języka, tej godki, możemy słuchać wszyscy. I oby niemalejąca liczba odbiorców uznała to, co usłyszysz, za swój język właśnie.



# KYNS NASZEGO ŻYCIO

---

**Waldemar Szymczyk**

Dostowocie dzisioj do rynki cosik wyjontkowego – ksionżka z dziesięcioma najlepszymi jednoaktówkami z konkursu w 2013 roku i do tego audiobooka, w kerym cytajom znane aktory: Anna Guzik, Barbara Lubos, Mirek Neinert i jego kamraty: Dariusz Stach, Piotr Bułka i Wojciech Leśniak. Didaskalia cyto zaś som Kamil Durczok, a wszystko wyrychtował Ingmar Villqist.

Kedy my sie zawarli z niymi na cołki dziyń w studiu Radia Katowice, coby nagrać tego audiobooka, mielimy pierońsko uciecha. Ale my tyż zaroz spokopiyli, że robiymy coś wielkiego. Ślonsko godka znomy z placu, w doma godali starziki i łojce. I Ligoń tyż pisał gwarom ... Ale jednoaktowka to co inkszego. To je blank ciyńzko napisać. No i te losprowki – ło husytach, ło pitaniu do Rajchu za Gierka, ło tym, jak familie som podzielone, jak żyjemy, bawimy sie, umiyromy. To kyns naszego zycio, historyji, łobyczajow.

A my to wszystko zbiyromy do kupy, drukujemy, nagrywomy i wysyłomy w świat. Za dwadziścia, piyńdziesiont lot to bydzie dlo historykow, etnografow, literaturoznawcow i jynzykoznawcow ważno rzec. Już pizsom ło naszym konkursie w rozto-majtych pismach naukowych, cajtungach, godajom w radiu i telewiziji. A to dopiyro trzi roki, jak my zacli ta robota.

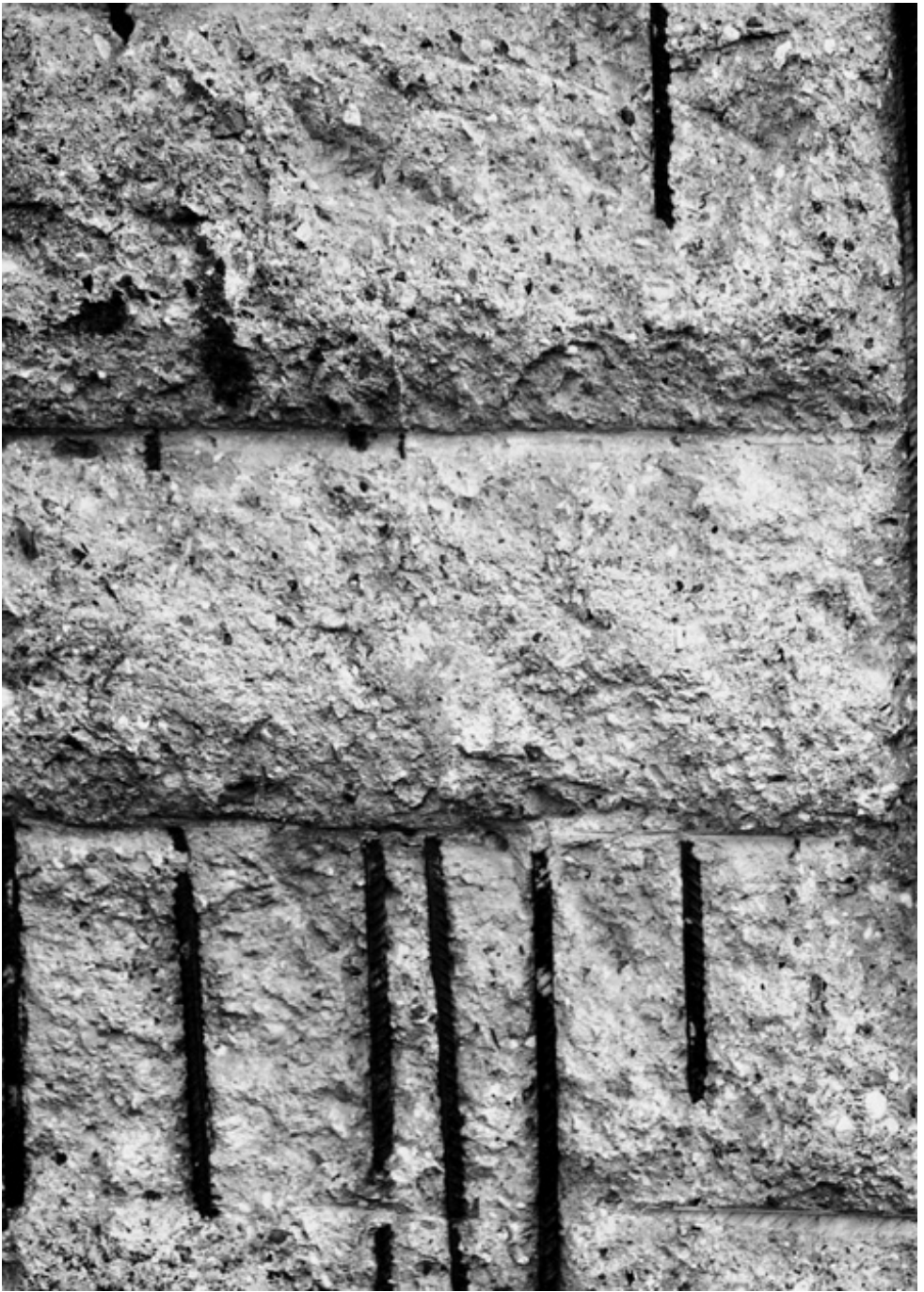
Fajniście, że pomys chyciyl, że ludzie pizsom i posylajom do nos swoje jednoaktowki, że jury majom ciyńzko, coby wybrać te najlepsze. A Kaszuby, co tyż majom swoja godka, nom zowiszczom i tyż chcom taki konkurs u siebie zrobić.

Beztuż cytejcie i suchejcie jednoaktowek, co my je dlo Vos wyszykowali z jurorami. I pizście do nos na nastympny konkurs. Czekomy!



## Ingmar Villqist

Za każdym razem, kiedy zbieram się do pisania wstępu do kolejnego tomu antologii nagrodzonych tekstów w konkursie na napisanie jednoaktówek po Śląsku, zastanawiam się, jak to możliwe, że nam się udało. Za nami już cztery edycje konkursu; około 150 nadesłanych jednoaktówek autorów ze Śląska, Czech, Niemiec. Doczekaliśmy się wreszcie pierwszych wystawień scenicznych, nasze jednoaktówki grają (i przygotowują już kolejne premiery) teatry amatorskie i zawodowe na Śląsku. Co rusz, a to bardzo ważne, młodzi reżyserzy pytają o następne teksty. Piszę te słowa dzień po nagraniu w Radiu Katowice audiobooka, na którym znajdują się nagrodzone trzy teksty z ostatniej edycji konkursu. O jednoaktówkach po śląsku mówi się i pisze. Teraz zadajemy sobie pytanie, co powinno się wydarzyć, albo co my, organizatorzy, winniśmy uczynić, aby te śląskie perełki dramaturgiczne znalazły swoje stałe miejsce na scenach, na początek, śląskich teatrów zawodowych. Być może dyrektorzy tych teatrów obawiają się, że włączenie do repertuarów którychś z jednoaktówek po śląsku będzie niepoprawne politycznie. A może muszą się po prostu jeszcze przekonać, że te teksty, które pojawiły się nie wiadomo skąd, powstały po prostu z potrzeby serca piszących i precyzyjnie diagnozują stan śląskiego ducha w arcyciekawym okresie transformacji tożsamościowej. Cierpliwości. Tak się stanie prędzej czy później. Te jednoaktówki będą grane w teatrach scenicznych, radiowych, dlatego że są bardzo porządnie, warsztatowo napisane. Po prostu. Skąd ta wiedza warsztatowa u piszących po śląsku? Ano stąd, że piszą o świecie, który doskonale znają, który jest w ich sercach, w rodzinnych wspomnieniach, albo przemilczeniach. Perfekcyjnie konstruują dialogi, bo posługują się swoim językiem, myślą po śląsku pisząc o Śląsku i dlatego są tak bardzo prawdziwi w konstruowaniu scenicznych historii i portretów psychologicznych postaci, które tworzą. A to w dramatopisarstwie, a zwłaszcza w jego kameralnych formach, jakimi są jednoaktówki, zawsze było i będzie najważniejsze.





# FOTOTAPETA Z WIDOKIEM NA ŚWIAT

---

**Piotr Zaczkowski**

„Freedland” Macieja Sojki dzieje się w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, kilka lat po odwołaniu stanu wojennego. Typowe mieszkanie spółdzielcze należy do typowego, choć bezdzietnego śląskiego małżeństwa. Achim i Dora przeżywają, przeżywają ostatni być może wspólny wieczór. W tle zmęczenie – nie wiadomo, czy sobą, czy może beznadziejnością życia. Achim przyszedł z pracy na cyku, Dora – jak miała w zwyczaju – czekała w kuchni przy oknie. Siedziała i myślała, i już dawno sobie ułożyła to, co miała do pomyślenia i do powiedzenia mężowi. Postanowiła wyjechać, postanowiła pojechać w jedną stronę, uciec do Niemiec, pitnąć do Rajchu, zacząć nowe życie. W nowym życiu czekać na Achima, który jednak za nic nie potrafił sobie wyobrazić, że czeka się na niego gdzie indziej niż na piątym piętrze mieszkania z przydziału, w świecie z przydziału. Dora nie zna słowa „nostalgia” i nie zdaje sobie sprawy z różnic między słowami „zakorzenie” i „wyrwanie” – Dora stoi w kolejkach, ogląda państwową telewizję i czasem odbiera listy z Niemiec. Nie studiowała etyki i poetyki rozstań – i nie wie, czego naprawdę chce. Wie jednak, że już nie da się być dla siebie, nie da się być sobą, będąc ludzkim gównem w „cerwonij rzici”.

Babski rozum podpowiada najważniejszą replikę, którą Dora odpiera prośby Achima o to, by nie wyjeżdżała, by zrezygnowała z wyprawy na zjazd absolwentów ryzykownej odmiany: „Kiedyś ta cała twoja budowlano fabryka padnie. (...) A twojim szefem będzie prywaciorz. Jak we Nymcach”. Może zresztą to nie Dora wymyśliła, a coś domyśliły dydaktyczne skłonności autora jednoaktówki. Nieważne jednak do kogo należą słowa, jeżeli to słowa prawdziwe. Achim obudzi się skacowany („ściorany gorzołom”), zapagnie papierosów, Dora na pewno wie, gdzie je porzucił: „Kaj som cygarety?”. Nikt mu nie odpowie. Życie pozostawia bez odpowiedzi najbardziej proste pytania, a czasem ludzie porzucają jedni drugich – na długo lub na zawsze.

W kuchni Dora i Achim zawiesili fototapetę z widokiem na Nowy Jork. Takich fototapet z widokiem na świat było wiele w śląskich mieszkaniach. Przyglądaliśmy się im, kiedy byliśmy dziećmi. Teraz ten świat przyszedł do nas. Pisarz, którego Dora i Achim na pewno nie czytali, apelował, aby zasłonić wszystkie lustra. Ciekawe, co zaradziłyby na lustra w naszych śląskich głowach.







**JEDNOAKTÓWKI**

---



**Maciej Sojka**

ŁOBSADA:

DORA – żona Achima

ACHIM – mąż Dory

*Michałkowice. Lata losiyndziesionte. Blok s Fabudu. Pjonty sztok.  
Dwie izby w miyszkanuu. W wielyj izbie wersalka – rogowka, na zoli tepich,  
na ścianach fototapeta s widokiym na Nowy Jork. Telewizor Rubin stoi na  
mebłościance kole łokna i glyndzi. W kuchni na ścianach blazeria, szafki  
pomalowane bejcom, lodówka Mińsk, pjec gazowy Wrozamet,  
nad pjecym lampa Predom, stoł i dwa krzesła. Achim przyszol s roboty  
na cyku, ciepnoł tasia w antryju i krzonto sie po wielyj izbie. Jest lekko  
wnerwiony. Dora siedzi w kuchni przy stole, paczy w łokno i myśli.*

ACHIM (woło z izby):

Dora? Kaj som cygarety?

DORA:

Na łonym.

ACHIM:

Kaj na łonym?

DORA:

Na szranku.

ACHIM:

Kaj na szranku?

DORA:

No, łone tam byli.

ACHIM:

A, tu som, pjeronie.

DORA:

Znod żeś?

ACHIM (*Łodpola jednygo łod sztrachecli*):

Ja! Kole gardiny byli, na fynsterbrecie leżeli.

*(Idzie z zapolonom cygaretom do kuchni.*

*Zaczyno sznupać po gorckach, podnosić tygliki i woniać)*

ACHIM:

Co? Uwarzyłaś coś? Mitag dzisiej bydzie? Godnych jes jak pjeron.

DORA (*paczy w łokno*):

Ja, w gorcku mosz. Zgrzyj sie. Chlyp sie ukroj do tego.

ACHIM (*podnosi dekel z gorcka i wonio*):

Ino tyła? Pjeronie, jak bych wiedzioł, to bych sie zjod jakiś flaps na stołówce.

DORA:

To cza boło jeś. Mógżeś wczorej pedzieć, że bydziesz jeś w robocie, to bych sie dzisiej poszła do koleżanki na kawa, a nie stoła w kuchni do połędnia.

ACHIM:

Dobra, niy wynokwiej jus.

DORA:

Powiydz mi, kery chop mo tak jak ty? Z roboty przydziesz. Narychtowane mosz. Pod nos podane. I niy docyniosz tego! Poczekej. Jak mje braknie, to dopiero bydziesz widzieć.

*Achim zaciongo sie cygaretom, kipuje do aszynbechra i zaś jom wkłodo do gymby.*

*Podpola gaz i podnosi tyglik, coby trocha pomiynszać.*

*Z łokapu ściongo talyrz, z szufłody wyjmuje łyżka i wszystko dowo na stoł. Siado naprzeciw Dory, zaciongo sie dymym i dmucho na nia.*

DORA:

Łogupiołś, abo co?

ACHIM:

Jo? To tyś dziołcha łogupiała.

DORA:

Chopie, zaś cie czuć gorzołom. Wy na tyj budowie niy poradzicie normalnie robić?

ACHIM (*podśpiywuje*):

Niy. My somy chopcy z Górnego Ślonska, ciynszko robić niy bydymy. (*poważniyje*) Dziołcha, coś ty tako nerwowo? Łod kilku dni żeś jes tako jakoś zamyślono, niy łodzywosz sie, takoś zmierzło sie zrobijła. Coś cie gryzie?

DORA:

Niyc.



ACHIM:

A może ciebie się sę?

DORA:

Co mi się sę?

ACHIM:

Ty już dobrze wiysz, co ci się sę. To samo co mi się durś sę. *(zaczyno śpiywać)* Cztery razy po dwa razy, łozium razy roz po roz, ło połnocy ze dwa razy i nad ranym jęse roz.

DORA *(cerwono się zrobiła)*:

Ić, ty gupieloku. *(paczy mu w łoczy)* Jo ci powiym, co mi się sę. *(ale niy godo, ino gibko wstaje z zica, bo na pjecu zaczyno fest bulgotać)* Za wielki łogień ześ zrobił. Spolisz tyn gorcek, pjeronie!

*Achim tysz gibko wstaje, wkłodo cygareta do gymby, biere szmata i ściongo bez nia dekel z gorcka. Gasi łogień i chyto gorcek za ucho.  
Przechylo go nad talyrz i łyżkom wybiyro resztki ś niego.  
Poczym siado i zaczyno jeś.*

DORA *(siedzi)*:

I co? Smakuje ci tak? W jednyj rynce cygareta, w drugij łyżka?

ACHIM:

Ja, smakuje.

DORA:

Niy umia na ciebie paczeć, żadziolu żadny.

ACHIM:

A jo na ciebie. Uczes się!

*Dora wylazi z kuchni do izby. W izbie przeciepuje kneflem kanał w Rubinie i siado na wersalce. Achim gasi cygareta. Kroi się czy sznitki suchego chleba na zagrycha, siado do stołu i zaczyno jeś. Z wielyj izby słyhać dziynniki w telewizorze. Pora minut późnij Achim kończy jeś. Brudny talyrz i gorcek wkłodo do ausgusa. Niy myje ich. Z kapsy wyciongo paczka klubowych, łodpolo jedna cygareta i idzie do wielyj izby. Siado na fotelu kole Dory.*

ACHIM *(zaczyno jom majtać po udach)*:

Ciebie się coś sę, pjeronie.

DORA:

Weź te rynce, łochlaptusie. Mje się coś sę? Ja, mje się rychtig coś sę. Sca ci coś pedzieć.

ACHIM:

W cionżyś? Bydmy mjeć małygo Achimka?

DORA (*paczy mu w oczy*):

A kaj tam. Sca ci pedzieć, że pitom do Rajchu!

*Achima aż zatyko. Cerwienieje, jak by mu ciśnynie pizło do gowy.*

*Zaciongo sie mocno cygaretom. Niy wierzy swoij babie.*

ACHIM:

Kaj, do Rajchu? Ty? A po co?

DORA:

Ja, jo. Jak po co? Żeby sie życie łodmiynić.

ACHIM:

Przeca tu jest twoje życie, we Polsce, na Ślonsku.

DORA:

Jusz niy. Niy byda sam miyszkać w tym komunistycznym kraju. Sca być wolno. Jusz mom wszystko łobsztalowane.

ACHIM:

Ale jes żeś wolno!

DORA:

Kaj zech jest wolno? Granice pozawyrane. W sklepach nic niy ma, ino pjeronie zynft i łocet na półkach. W kolyjkach cza stować za żarciym. W telewizji ino dwa kanały. Niy momy nawet telefonu. Ło aucie niy wspomna.

ACHIM:

I łostawisz mje sam samego?

DORA:

Jo pojada piyrso. Przygotuja wszystko, a ty przyjedziesz późnij.

ACHIM:

Jo nikaj niy jada. Jo jest Polokiym, Ślonzokiym, a niy jakiyms owczarkiym niymieckim.

*Achim wstaje z fotela i łotwiyro barek. Wyciongo niydopite pół litra*

*gorzoły, kieliszki i kładzie to wszystko na stoł. Nalywo sie sznapsa,*

*nalywo Dorze, zaciongo sie cygaretom i paczy na swoja baba.*

DORA:

Po coś mi poloł? Sces mje ścioprać, żebych zmiyniła zdanje? Som sie pij, łochlaptusie. Jo zdanja niy zmiynia.

*Dora łodstawio sznapsa na bok. Achim jak to widzi, to sie rozsiado wygodnie we fotelu.*

ACHIM:

Powiedz mi ino, jak tyś to wykombinowała?

DORA:

Łod roku pisa listy z Helom. Pamiyntosz jom? Miyszkała na dziesionтым sztoku. Terozki miyszko w Bad Noj Sztad. Pitła jesce przed stanym wojynnym. Wychabiłach jej niymiecki adres łod ij matki. Hela sie bez cztyry lata do nikogo niy łodzywała. Boła sie, że abo łona, abo ftoś z jej rodziny bydzie miał problemy skuli tego, że pitła. Trzy dni tymu przysłała mi zaproszynie.

ACHIM:

W brifie? Żodnyj poczty z Zachodu sam nigdy niy boło.

DORA:

Niy boło. Bo jak ty żeś jes cołki dziyń w robocie, a jo w doma, to się chyba umia z listonoszym dogodać abo?

ACHIM (*przychyło kielon i nalywo nastympnygo sznapsa*):

Tyś jes szcziga!

DORA:

Jo jes szcziga? Cerwony komuch sie łodezwoł.

ACHIM:

Kaj chcesz pitać? W Polsce bydzie coroz lepij. Skond mosz pjondze? Paszport?

DORA:

Niy bydzie w Polsce lepij. Nigdy! Pjondze pożyczylach łod matki i łojca. Na poczontku Hela nie ściała mi wysłać zaproszynie. To sie dowiedziałach, że można dostać wiza, jak sie mo 50 marek na dziyń pobytu. Szporowałach bez tyn rok grosz do grosza, fynik do fynika. Łojciec kupioł mi 250 marek pod Pewexem u cinkiorzy w Katowicach. A paszport? Niy pamiyntosz, jak my sie dwa lata tymu wyrobieli, bo mieli my jechać na wczasy do Bułgarii, ino żeś nie dostoł przydziału z roboty, boś mioł dwie bumele w miesioncu? Niy pamiyntosz?

ACHIM (*przychyło kielon i nalywo nastympnygo sznapsa*):

Pamiyntom, ani mi niy godej. (*kipuje cygareta do aszynbechra*) I ty sces być Nymrom? I myślis, że jak sie wykludzis, to Hela ci pomoże f tych helmutach pjeprzonych? Niy wierza.

DORA:

To uwiyrz. Zaufałach ij. Nie robiła by auflaufu, jak by niy ściała mi pomoc. Napisała mi we liście, że te marki, co miałach na wiza, mom wzionć ze sobom. Zaroz jak przyjada, w ciongu cztyrech dni łona mi załatwi lager. Friedland.

ACHIM:

Friedland jes przepełniony. Godali w dzienniku na piyrszym, że jes dużo Rusów i Poloków.

DORA:

Hela pisała, że we Friedlandzie byda ino pora dni, aż mi sprawdzom wszystkie papjry. Tam podobno jes wszystko za darmo. Śniodania, łobiady i kolacje. Ino się śpi w takich barakach w sześć osobowych cimrach. Po tygodniu wywiozom mje do innego lagru na Unna-Massen i tam jus jes podobno normalnie. Som normalne mieszkania. Samymu sie robi zakupy i warzy sie tysz samymu. I tam tysz sie dostaje gelt na poczontek łod Niymców.

ACHIM (*gasi cygareta, przychylo kielon i nalywo nastympnygo sznapsa*):

Niy wierza. Niy wierza w tyn cały, zgniły Zachód. Za darmo pjondze dować, jeś dować i mieszkania dować. To sie w pale niy mieści.

DORA:

Hela pisała, że w Unna-Massen byda do czterech tydni, aż miasto, w kerym sca miyszkać, do łodpowieź, że mo wolny plac do mje. Mom tysz łązić na szprachkurs i dostować untehaltgelt, kole łoziemset marek na miesionc. Achim, jo sca mieć coś z życia, jo sca sie czegoś dorobić. Badej, Darek jest w Lünen, pan Anton z familjom w Essen, Dana z chopym w Erlangen. A my? Kaj my som?

ACHIM (*już lekko wciynty*):

My?

DORA:

Jo ci powiy kaj. W rzici. Cerwonyj rzici. Rozumisz, Achim? Cerwonyj!

ACHIM (*wyraźnie wnerwiony*):

Cerwonyj? Jakby my niy byli w cerwonyj, to co by my mieli? Nic! Miyszkanie dostali my z moij roboty. Za to, żech żyły wypruwoł po 12 godzin dziynie. Na wczasy jeździs rok w rok do Kołobrzega na Podczele? Jeździs! Wnet bydzie przydział na auta i malucha mi na pewno dajom. Tu momy wszystko.

DORA:

Niy, Achimku. Tu niy momy nic. To wszystko niy jes nasze. To jes państwowe. Kiedyś ta cało twoja budowlano fabryka padnie. Jo ci godom. A twojim szefem bydzie prywaciorz. Jak we Niymcach.

ACHIM (*przychylo kielon i nalywo nastympnygo sznapsa*):

W Niymcach, w Niymcach, pjeronie w Niymcach. Jo ci powiy, jak jes w Niymcach. Robił zy mnom taki Walek, kery tys pora lot tymu pitnoł do efu. Napi-

soł późnij list do majstra, że tam jes mjót i raj na ziymi, i że mo brać cało familja i pitać z Polski. I majster tam pojechał. Do niego na byzuch. Na pora dni. Cugiem, bez dedeery. I łon widzioł, jaki Walek tam mo mjót. Forsztelujesz sie, że jak łoni sie kompali, to nojprzód sie kompoł Walek, późnij w tyj samyj wodzie sie kompała jego baba, późnij tysz w tyj samyj wodzie jego dwoje dzieci sie kompało, a na koniec łoni tom wodom myli siyń i podłogi. Jak majster na to wejrzoł, to mu sie tych Niymców łodechciało. Tak tam wyglondo, tyn twój zgniły Zachód.

DORA:

Tyś jes komuch, pjeronie. Tyś przed ślubym taki niy boł. Co ci sie w gowa stało, chopie? Woda z mózgu ci zrobili na tych zebraniach zakładowych? Jo by nigdy niy myślała, że sie z takim cerwonym komuchym hajtna. Ale mogłach to przypuszczać. Cało twoja familjo pszaje partii, a niekere nawet w nij som. Twoja matka płakała jak umar Stalin. Godała mi ło tym. Godała mi tysz, że bych zawsze wierzyła w tyn systym, bo bydzie nom, modym, łatwij w przyszłości. I co? Jes nom łatwij? Badnij sie na Hela, jak im sie powodzi. Jakim autym jeździ. Jo ci zdjyncia pokoża. Mercedesa majom. Jeżdżom kaj chcom. W Belgii byli, w Paryżu byli. Achim, jo sca tysz być wolnym czowiekiym. Rozumiesz ty to? Wolnym!

ACHIM:

Moja matka ci robota załatwiła w sklepie. Pamiyntosz?

DORA:

Ja, pamiyntom. Toś sie zy mie śmioł, że wyglondom jak kobieta za ladom z tego pepickiygo serialu.

ACHIM:

Niyprowda. Bumele żeś robiyła, jedna za drugom, aż cie zwolnili. A mogłaś być terozki kierowniczkom.

DORA:

Ja, mosz recht. Mje zwolnili, ale skuli ciebie. Tyś ścioł, że bych niy robiła. Żebych ci łobiady warzyła i dowala pod nos, jak przidziesz z roboty. Wmawioł żeś mi, że bydziesz dużo zarabiać, że bydziesz mieć rodzinno pynsja i inne gupoty żeś mi wmawioł. I terozki co? Idziesz na szychta i przylazisz wypity. Zamiast coroz lepij, jes coroz gorzyj. Mom tego dosyc.

ACHIM (*przychylo kielon i nalywo nastympnygo sznapsa, ale jes juz fest łozarty*):

I co? Łostawisz mje?

DORA:

Ja. Kofry mom jus spakowane. Niy szukej, bo som u Haliny. Dzisiej byda u nij spać. Jutro mom autobus do Nymiec spod hotelu Silesia w Katowicach. Ło piontyj po połedniu. Przydziesz sie pożegnać?

*Achim nic niy godo. Gowa spuścił i jes mu smutno. Pociongo nosym jakby ślimtoł.*

DORA:

Niy być płaczypita. Czecom na ciebie w Nymcach. Byda do ciebie pisać.

ACHIM (*prawie ślimto*):

Dora, prosza cie, niy jedź. Jo cie kochom, dziełcha.

DORA:

Achim, jo sca być wolno, rozumisz? Jo sca być wolnym czowiekiym. Pa, kociku.

*Dora wstaje ze wersalki i daje Achimowi kusika w czoło. Ubiero sie w mantel i wychodzi do koleżanki. Achim ścioprany gorzołom belonto sie na fotelu. Nalywo sie jesce pora sznapsów, wypijo i zasypio. Rano budzi się na wersalce z kacym. Łotwiero łoczy, ale gowa go tak boli, że musi mieć zawarte. Po ćmoku próbuje wymacać cygarety na stole, ale niy umi ich znolyż. Woło na cały fol.*

ACHIM:

Dora! Kaj som cygarety? Dora!

*Ale nikt mu niy łodpowiado.*

# KOMISORZ HANUSIK I WARSZAWIOK

---

**Marcin Melon**

*(dejcje pozór, sztuka zawiero elementy fest wulgarny godki, co chwila pojawio sam sie wyraz „pieron”, „pieroński” abo „pieronić”, ale to ino skuli tego, co godki som nojczynścij miyndzy policajami, a każdy wie, że policaje to nie ministranty i popieronić sie muszom)*

GRAJOM:

INSPEKTOR SMOLORZ

KOMISORZ ACHIM HANUSIK

PORUCZNIK MOTYL

STARO BANNERTKA

BINA PIYRSZO

*Komynda wojewódzko policji w Katowicach, biuro Inspektora Smolorza. Łokno, w łoknie kraty, w izbie szrank, dwa stołki, jakoś ryczka, na kery leżom papióry, dźwiryze. Inspektor stoi wele łokna, filuje na plac, szkubie czornego wonsa i co chwila szkrobie sie po czorny gowie. Łoroz klupanie do dźwiryzy.*

INSPEKTOR SMOLORZ:

Wlyźć.

*Komisorz Achim Hanusik włazi do gabinetu.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Melduja sie, panie Inspektor, chcieliście godać ze mnom.

INSPEKTOR SMOLORZ:

Ja, Hanusik, chciołech. Co tam u wos? Jak tam baba waszo? Moja bydzie miała bajtla, wiyacie? Fatrem byda, czworoty roz.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Gratuluja, panie Inspektor. Ale przeca nie skuli tego żeście mie sam wołali.

INSPEKTOR SMOLORZ:

Mocie recht, nie skuli tego. Znocie takigo gizda, kery sie nazywo Erwin Bannert?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Bannert, Bannert... Coś mi to godo.

INSPEKTOR SMOLORZ:

Nie dziwia sie, że wom mało co godo. Kożdo go zno pod pseudonimem. Ryszawy Erwin. Skuli tego, co je ryży. Ryszawy Erwin Bannert, pieron łognisty...

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja, ja, coś żech ło nim słyszol. A co to łon je? Mordyrz? Kradziok?

INSPEKTOR SMOLORZ:

Niy, niy, gorzy... Jak by wom to pedzieć... Łon sie przeblyko...

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Przebly...? Aaaa, przeblyko! Za baby, ja?

INSPEKTOR SMOLORZ:

Niy. To znaczy ja. To znaczy niy ino. Ło to idzie, Hanusik, że tyn gizd poradzi sie za kożdego przeblyc. Nawet za wos abo za mie. Mo tako pieronowo grajka do tego i poradzi narobić w pierony łostudy. Zoboczcie, sam mocie jego akta. *Smolorz biere z ryczki papióry, łotwiero akta Ryszawego Erwina i czyto.*

INSPEKTOR SMOLORZ:

Sztyry lata nazod udowol fest gryfno frela i zaczon zolycić z dyrektorem Banku Górnoślonskiego. Dyrektor je ruby i glacaty, to ciynżko nie miol tak po prowadzie... Potym Erwin zawar go w haźlu, przeblyk sie za niego i zrobił przelyw na sztyrdziści milionów na swoje konto na Kajmanach. Inkszego razu przeblyk sie za Jorga Buchty. Znocie Jorga Buchty, Hanusik?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Toć, że znom, przeca to nojlepszy fusbalarz Ruchu, dwadziścia łozym torów łońskiego roku naszczyłol!

INSPEKTOR SMOLORZ:

Ja, a pamientocie derby z GieKaeSem łońskiego roku? Wtenczos, co Buchta szczelił z elwra w lata?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Toć, że pamiyntom, żech boł na tym szpilu! A potym jeszcze sie luftneł, jak boł som na som ze tormanem. Żodyn nie umiol spokopić po jakimu...

INSPEKTOR SMOLORZ:

Skuli tego, że łon to nie boł łon. Przed szpilem Ryszawy Erwin zawar Buchty w haźlu i wloz na szpilplac za niego. Żodyn kibic sie nie pokapowol.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

To gizd pieronowy, richtich...



*Smolorz dowo Hanusikowi brif, kery miol w kapsi łod szaketu.*

INSPEKTOR SMOLORZ:

A terozki zoboczcie, co mi posłoł.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*czyto*):

„Do Inspektora Smolorza. Smolorz, czytołech, że w czwartek w Katowicach bydzie pre... (*pieronie, ale mo klala!*)... że w czwartek w Katowicach bydzie premier Polski. Co byście pedzieli, jakby tak premier Polski łogłosił w tyn czwartek auto... autonomio Ślonska? Dejcje pozór. Pyrsk. Ryszawy Erwin”. Niy rozu... Rozumia!!! Tyn gizd chce zawrzyć premiera we haźlu, przeblyc sie za niego i łogłosić sam autonomio!

INSPEKTOR SMOLORZ:

Genau! Nie mogemy do tego dopuścić! To by boł skandal, jakigo Ślonsk niy pamiynto! Hanusik, musicie znojść tego pierona przódzj, nim łon kajś za-wrze polskiego premiera i łogłosi ta autonomio.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Zrobja to, panie Inspektor, znojda go i hycal!

INSPEKTOR SMOLORZ:

No, niy bydziecie taki nogły. Bydziecie mieć tym razym partnera. Agencja Bezpieczeństwa Wewnyntrznego chce mieć wszystko pod kontrolom, to nie ino nasza ślonsko sprawa.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Panie Inspektor, wycie, że jo rod som robia, jo z ABWery żodnego gorola nie chca.

INSPEKTOR SMOLORZ:

Wy sam nic do godki nie mocie. Poruczniku Motyl, pódzcie sam ino!

*Dźwyrze sie łodmykajom. Włazi porucznik Motyl,  
elegancko oblycony, w ancugu i zonenbrylach.*

PORUCZNIK MOTYL (*gibko*):

Melduje się porucznik Motyl, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Komisarzu Hanusik, będziemy partnerami przez najbliższe dni.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*do Smolorza*):

Jeronie, a tyn hampelman skond sie tukej wzion?

PORUCZNIK MOTYL:

Skąd? Z Warszawy jestem!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*znerwowany do Smolorza*):

No nie, panie Inspektor! Wy mie chyba za bozna robiecie! Co jak co, ale jo z warszawiokiem robił nie byda!

INSPEKTOR SMOLORZ (*do Motyla*):

Panie poruczniku, nie gorszcie sie skuli tego, co ten gupielok godo. Jak widziacie, te gupie animozje som tukej durś obecne... Hanusik, niy ma wom gańba tak godać do waszego partnera nowego?

PORUCZNIK MOTYL:

Ależ nie ma sprawy, rozumiem dobrze lokalne uwarunkowania. Panie komisarzu, proszę dać mi szansę, pomimo mojego pochodzenia. Ja naprawdę bardzo lubię Ślązaków, szanuję waszą pracowitość. Mało tego, kiedyś miałem narzeczoną ze Śląska, wiecie?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja, ciekawe skond ta libsta, pewnie z Aldrajchu...

PORUCZNIK MOTYL:

Proszę? Że narzeczoną niby moja? Stąd, ze Śląska, z Będzina była. Aldona się nazywała, może znacie?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*wzdycha som do siebie po cichu*):

Ponbócku, no to żeś mie pokoroł...

(*do Motyla*)

No dobra, jak mamy razem robić, poruczniku Szmaterlok, to bieremy sie do roboty. Sam, na Śląsku, nie godomy, ino robimy. Moga godać do was per Szmaterlok? Po naszymu tak byście sie mianowali.

PORUCZNIK MOTYL:

Ależ oczywiście, a może przejdziemy na ty, Joachim? Tak będzie swobodniej. Jeśli chcesz, możesz też zmienić moje imię na waszą gwarę. Lubię słuchać jak Ślązacy „godoją”.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*zaś wzdycha*):

Godajom, synek, my godomy. A jak to sie mianujesz, Szmaterlok? Pyjter? Zefel? Karlik?

PORUCZNIK MOTYL:

Igor jestem. Jak to będzie po waszemu?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*som do siebie*):

Ponbócku, za co?

## BINA DRUGO

*Zołynże, chaupa, w kery mieszko staro Bannertka, matka łod Ryszawego Erwina. Komisorz Achim Hanusik i porucznik Igor Motyl stojom na siyni, wele dźwiryzy i genau wele rantu łod biny. Motyl klupie do dźwiryzy, kuko bez kuklok roz i drugi. Po drugi stronie dźwiryzy ajncla łod stary Bannertki, próžno. W ajncli łokno, ryczka, dwa stołki, szrank, kachlok i koulkastla.*

PORUCZNIK MOTYL:

Przypomnij mi, Joachim. Teraz odwiedzamy matkę podejrzanego, panią Bannertową? Rozmowa z nią pozwoli nam lepiej poznać modus operandi podejrzanego.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja, genau, może staro Bannertka bydzie wiedziała, kaj tyn gizd sie chowie.

PORUCZNIK MOTYL (*filuje na lewo i prawo*):

Ale swoją drogą okolica nieciekawa... Jak się nazywa ta dzielnica?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Zołynże. Sam mieszko mój kamrat, w ty chaupie, tam na winklu, wiysz, Szmaterlok?

PORUCZNIK MOTYL:

Dlaczego sam? Nie ma żony?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*znerwowany*):

Co ty godosz? Godom, że sam mieszko, a nie som! Znołzech go łod bajtla, ino potem jo poszoł za policajaj, a łon na gruba.

PORUCZNIK MOTYL:

Ja tam nie lubię grubych kobiet, Joachim.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*zaś znerwowany*):

A fto godo o babach? Ale kej już o babach godomy, to ja, łon mo baba i mo nawet gryfno cera.

PORUCZNIK MOTYL:

No, ja też dbam o cerę, uważam, że każdy facet powinien dbać i nacierać się różnymi kremami, żeby mieć gryfną cerę.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Jakimi zaś krymami? To wy tam we Warszawie mocie jakiś krym, cobyście gryfne bajtle mieli? A kaj to szmarujecie? Co ty mi sam za nudle wieszosz! Za bozna mie robisz? Weź mie nie szteruj!

PORUCZNIK MOTYL:

Ależ gdzie ja tobą steruję, Joachim? Przecież jesteśmy partnerami! Czujesz się sterowany przeze mnie?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja, czują się zessterowany, i to pieronem.

STARO BANNERTKA (*włazi na sień we fortuchu, tacho jakoś epa, zdziwiono*):

Chopcy, wy na mie czekocie?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*wyciongo łodznaka policyjno*):

Ja, ja, Bannertko. Komisorz Hanusik ze ślonski policje i porucznik Motyl z ABeWu. Chcemy z wami pogodać ło waszym synku.

STARO BANNERTKA (*łodmyko dźwyrze i włazi do swoji ajncli, Hanusik i Motyl tyż*):

Zicnijcie się, chopcy, połosprowiom wom ło tym giździe dopolonym.

(*łotwiero łokno do mola*)

Tyju wom zrobia, ino że mom taki ajnfachowy, niy gorszcie się. (*do Motyla*)

Na, weź się, synek, ryczka.

PORUCZNIK MOTYL (*po cichu do Hanusika*):

Co za ryksza?

*Hanusik nic nie godo, ino dowo ryczka Motylowi, coby ten miół kaj się siednonć.*

STARO BANNERTKA (*richtuje tyj*):

Łozim dziecek żech wychowała, ale tela zdrowio, co tyn chachor mie kosztował, to żodne. Już łod bajtła sztyjc boł jakiś inkszy, jak ino się umia spomnieć... Jo żech już myślała, że to jaki podciep bydzie... Pamiyntom jak robił za bozna wszystkich rectorów, bo przeblykoł się każdego dnia za inkszego bajtła. Sama żech się nieroz chachła, roz to żech sprąła bajtła łod Nowoczki, boch myślała, że to mój Erwin się za niego przeblyk. (*dowo im tyj*) Skuli tego rojbra żech z całkom chaupom prziszła na krziwe pyski. A jak szoł do komunie, to przeblyk się za Murzina. Jak go nasz farorz ino zoboczyli – prawie hercszlag, godom wom! Chcecie, chopcy, może krupnioka, bo mom?

PORUCZNIK MOTYL:

Nie, dziękuję, nie piję na służbie.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*do Bannertki*):

Łon je z Warszawy, wyboczcie mu.

STARO BANNERTKA:

Jezderkusie, każdego żol. Co to boł ale za rojber z tego Erwina... Kej indzi zaś udowoł wojoka, coby jakoś frela zbamoncić. Babiorz boł z niego. Jak miół

dwadziścia lot, przeblyk sie za ksiyndza, egal mu było, że to grzych. Żodyn ze pastuszków sie nie pokapowoł. Łaził sam po kolyndzie i zbierał piyniondze. Jak na drugi dziyń richtich ksiondz prziszło, to somsiod chcieli mu chaja robić, bo pedzieli, że drugi koperty mu nie dajom. Jezderkusie!

PORUCZNIK MOTYL:

W mojej opinii mamy do czynienia z bezwzględny, głęboko zdemoralizowanym i zarazem niedostosowanym społecznie osobnikiem o wyjątkowo niskim poziomie empatii, który nie zawaha się przed żadną podłością, gotowym wykorzystać wszelkie słabości swoich ofiar.

STARO BANNERTKA (*do Hanusika*):

Co łon godo?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Godo, że richtich gizd z tego waszego synka.

STARO BANNERTKA:

Ja. A nojgorsze jest, że nikt nie poradzi sie pokapować, że łon to je łon. Tako mo grajka do tego przeblykano sie, że chobys widziol som siebie we źdzadle!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dobra, pódymy już. Dziynkujemy wom za to, coście nom pedzieli.

STARO BANNERTKA:

Chyćcie go, chopcy, chyćcie, bo jo już do tego gizda nie mom siły.

PORUCZNIK MOTYL:

Czy ja bym jeszcze mógł skorzystać z kibelka?

STARO BANNERTKA:

Z kibelka, synek? No, jo mom taki kibel stoć na placu, ino że terozki wongiel w nim trzimia. A na co ci ten kibel?

PORUCZNIK MOTYL:

Nie, nie, to ja jednak podziękuję.

*Hanusik i Motyl wylażom z ajncli stary Bannertki, kero łostowo za dźwiryzami. Widać jak w ajncli staro Bannertka biere zegówek, dowo go na parapet i stowo we łoknie, coby sie poklachać z inkszymi klajcbabami.*

*Hanusik i Motyl stowajom zaś na rancie łod biny, choby na borsztajnie.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*markotny*):

No to momy utropa. Rodzono matka tego chachara pado, że poradzi sie przeblyc za bele kogo ino chce. Zobocz, Szmaterlok, wiewa norodu, toć koždy z nich to może być Ryszawy Erwin przeblycony.

PORUCZNIK MOTYL:

Nie wierzę w jego bezbłądność. Muszą być jakieś detale, które zwrócą naszą uwagę.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*pokazuje rynkom ku publice, tak genau to ku trzeciej raji*):

Zobocz tamtego chopa. Wele ty gryfny frelki. Trzecio raja, widzisz? Ja, tyn w szakecie. Takie gupie afy szczyło.

PORUCZNIK MOTYL (*tyż filuje ku publice*):

O, a ten za nim? Ty, czy on ma makijaż?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Tyś sie chyba z gupim bez telefon widzioł, dyc to je bergmon. Z szychty na grubie sam prziloz, skuli tego tak wyglondo.

PORUCZNIK MOTYL:

A ten z wąsem? Nienaturalnie gruby taki, widzisz?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Dej pozór, wele niego siedzi jego matka, genau widać na kogo sie podoł. I nikt nie pedzioł, że to musi być chop, przeca Ryszawy Erwin przeblykoł sie już za baby, pra?

PORUCZNIK MOTYL:

O, tamta jest ruda... czyli ryszawa, tak?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ta świdrato? Zobocz, winkuje nom. No, tak po prowadzie to mo tako koncek frechowno gymba...

PORUCZNIK MOTYL:

To może być ktokolwiek... Nie mamy szans.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Mosz recht, tak go nie znojdemy. Muszemy poczekać, aż Ryszawy wykona piyrszy jakiś ruch.

PORUCZNIK MOTYL (*seblyko zonenbryle na chwila*):

Ty, Joachim, dlaczego właściwie wy tak bardzo nie lubicie nas, warszawiaków?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ech, Szmaterlok, Szmaterlok... Co ty za to możesz, żeś ty je ale taki pitomy. Pódz, napijemy sie piwa, a jo ci wyerkleruja wszisko. Może nom co przidzie do gowy.

BINA TRZECIO

*Ajncla łod Hanusika. W ajncli lyże, szrank, dwa stołki, na jednym szaket i galoty, wele nich ryczka. Hanusik ino w samym tresku i galotkach śpi u siebie w lyżu. Łoroz dzwoni mobilniok.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*łotwiero łoczy, sztrekuje sie, szuko telefonu, w końcu udowo mu sie go znojść*):

Ja? Hanusik godo. (*łoroz spokopił fto godo, stowo sie oficjalny*) Melduja sie... Panie Inspektor, wiela to je godzin? Przeca je ćwierć na jedna. Łostaliście łojcem, ja? No, gratulacje. Panie Inspektor, wy ślimtocie? Ale... Dziolszka czy synek? Jak to egal?!? Panie Inspektor, co wy godocie, nie rozumia vos! Jak to ryże?!? Przeca wyście som czorny i baba tyż czorno mocie! Jerronie, ino mi nie godejcie, że... No, tyn gizd pieroński! Bajtel sie ryszawy urodził, ja?! Rozumia, panie Inspektor. Obiecuja wom, że go chyca. Chyca pierona, choćy nie wiem co! Jo sie ciaciac z nim nie byda. Choby ino skuli vos go chyca!

*(łodciepuje mobilniok, lygo nazod na znaczki, godo do siebie)*

Jeronie, ino kaj jo go znojda? No to mom utropa... Katać ślonsko policjo do sie spodobać takemu łochyntolowi. Dzisiej już czwortek, premier przyjeżdžo, co to bydzie, jak łon go zawrze w haźlu. Ale bydzie haja...

*Łoroz mobilniok zaś dzwoni.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja, Szmaterlok, godej... Niy godej! Namierzyliscie go, ja?  
*(durs godo bez mobilniok, ale już łoblyko galoty, fuzekle, oberhymda i szaket)*  
Na zicher? Nie robisz mie ale za bozna? Chopie, zaroz tam byda. Namierzyliscie jego mobilnioka, ja? Dobra! Byda za dwadziscia minut, wele magazynu huty Kunegunda. Ja, wiem kaj to je. Czekej na mie wele tego magazynu. Nie wlaź tam som, słyszysz? Chycemy go, zoboczysz.

*Magazyn huty Kunegunda. Na zolu bergówy, szroby, hercki, szperplaty, koncki papyndecla abo inksze klamory. Motyl, jak zowdy w zonenbrylach, chociaż je durś ciyma, stoi i kurzy cygareta, widać, co je fest znerwowany. Włazi Hanusik.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*trocha som do siebie*):

To tak to terazki wyglondo, jak hasiok. Jo pamiyntom jak sam stoła srogo huta. Ujek mój tukej robił. A terazki nawet wachtyrza...

PORUCZNIK MOTYL:

Nie zwywałem posiłków, by go nie przestraszyć. Nasi spece twierdzą, że jest gdzieś tutaj. Jesteś gotowy?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*wyciongo pistoula*):

Toć, żech je fertich. Gizd nom już nie pitnie, Szmaterlok. Idymy.

PORUCZNIK MOTYL:

Każdy, kogo tu zobaczymy, może być naszym podejrzanym. Ja pójdę tym korytarzem w prawo, ty w lewo. OK, Joachim?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja. Dowej pozór, jakby co to ryc. (*widzi, że Motyl wyciongo sztrachecele z kapsi*)  
Schow te sztrachecele, pódymy po ciymoku. Łon nos nie śmie zoboczyć, rozumisz?

*Motyl idzie na prawo, a Hanusik fórt w lewo, łoroz stowo i sztaunuje.*

*Łobraco sie ku Motylowi.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*po cichu*):

Szmaterlok! Czekej ino!

PORUCZNIK MOTYL:

Tak?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*idzie ku niemu, durś po cichu*):

Szmaterlok, zakucej ino, ja?

PORUCZNIK MOTYL:

Co? Ale... po co?

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*łoroz rycy*):

Szmaterlok, kucej, a wartko! Cóż tak stoisz choby leluja? Kucej, synek, godom ci! Gibko!

PORUCZNIK MOTYL (*kuco*):

Yhy, yhy.



*Hanusik rycy, ciepie sie „mit aufschwung” na Motyla, chyto go za kragel  
i łobalo go na zol. Ściongo mu zonenbryle, a z gowy maska i widzi ryszawo gowa  
Erwina Bannerta.*

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Mom cie, giǳdzie. Erwin Bannert, jeżeś arestowany skuli tego, żeś zachach-  
myncił sztyrdziści milionów z Banku Górnoślonskiego, zgwołcił żona Inspektora  
Smolorza (choćaż łona durś sie nie pokapowała), i dziewietnoście razy prze-  
blykoł sie za kogoś inkszego. Że już nawet nie wspomna ło szpilu z GieKSom!

PORUCZNIK MOTYL (*kery okozoł sie Erwinem*):

No ja, mosz mie. Ale jak tyś mie poznoł?

BINA PIONTO

*Ajncla Hanusika, komisorz siedzi wele telewizora, trzymie w rynce  
flaszka z piwem. W TV premier godo to, co sztyjc godo polski premier, jak  
ino na Ślonsk przyjedzie („że Ślonzoki som robotne, że bez Ślonska nie  
bydzie Polski i mamy na niego welować, choćaż i tak nic nie dostanemy  
itd.”). Łoroz klupanie do dźwyrzy, włazi Inspektor Smolorz.*

INSPEKTOR SMOLORZ:

Przyszołech, Hanusik, podziynkować wom jeszcze roz. Jakby nie wy, fto wie  
co by sie dziolo terozki.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Niy ma ło czym godać, panie Inspektor. A jak tam warszawiok?

INSPEKTOR SMOLORZ:

Porucznik Motyl? Znodli my go zawartego w haźlu, durś ślimtoł, bo myśloł,  
że terozki już po ptokach, że Ryszawy Erwin zawrze premiera i narobi łostudy.  
No, jakby nie wy... Myśleli my, że dostoł na gowa, ale w lazarycie pedzieli, że  
to ino szok... Terozki pojechoł już nazod do Warszawy, doł vos pozdrowić.

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

A jak tam wasza żonka i bajtel?

INSPEKTOR SMOLORZ:

Co wom mom pedzieć, baba durś w szoku, ale przeca nie jeji wina... Bajtlo-  
wi trza bydzie przoć, choćaż ryży. Ryży, nie ryży, ważne, że nie gor... no, to

znaczy chciołech pedzieć ważne, że zdrowy. Ale co bydymy godać ło mie, jo bych rod sie jeszcze ino dowiedzioł jednego...

KOMISORZ ACHIM HANUSIK:

Ja?

INSPEKTOR SMOLORZ:

Po jakiemu wom sie udało spokopić, że w ty hucie to nie boł porucznik Motyl, ino przeblycony za niego Ryszawy Erwin? Przeca rodzono matka nie poradziła pedzieć, że łon to je łon!

KOMISORZ ACHIM HANUSIK (*chichro sie som do siebie*):

No, wartoło sie jednak uczyć polski godki! Co by nie pedzieć, tyn jedyn roz sie wartoło.

*Koniec sztuki. Aktory wylażom nazod na bina. Ślonsko tajla publiki tuplikuje tajli nieślonski, po jakiemu komisorz sie kapneł, że warszawiok to nie boł richtich warszawiok. Nieślonsko tajla udowo, że rozumi.*

# ŚWIYNTO WOJNA

---

**Marcin Szewczyk**

CZAS:

1432 rok, okres wojny husyckich w środkowej Europie. Rejza łupieżczo husytów na Górny Śląsk.

PLAC:

Kościół farny w Wodzisławiu. Momynt oblynżnio świontyni bez wojska husycki. W pojrzodku zabasztowali sie ludzie, kerzi ocaleli z pogromu miasta. Scyna podzielono je na pojrzodku dupnymi dźwyrzami, po prawej stronie je przisiynek kościoła, po lewej dwór.

OSOBY:

HANKO Z JEDŁOWNIKA – młody, dwajestoletni rycerz. Szac od Hedwig  
PATER LAURENTIUS – farorz wodzisławski, nazywany ze słowiańska Wawrzyńcym  
HEDWIG – nazywano też Hyjdlusiom. Libsta od Hanka, frela w wieku szesności lot  
WACŁAW Z ROGOWA – zwany Wolfym abo Wilkiym. Starszy, sztyrdziesiętletni rycerz. Zaprzędany husytom

BINA PIYRSZO

*W przisiynku kościoła Hanko basztuje dupne dźwyrze roztomańtymi sprzyntami i werkcojgiym, kery tam znod: klyncznikiym, krótkimi ławkami, figurami etc. Pomogo mu pater Laurentius.*

PATER LAURENTIUS:

Nie forsuj sie tak, synek! To, że żyjesz, to je cud, a kto wiy, czy Ci tyn patron żeber nie poharatoł. Zawołom kogo lepszy do pomocy.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Nie starejcie sie o mie, pater. Patron przebiył mi tarcza, ale zbroja strzymała, dziura mom dupno na pancerzu, ale pod spodkiym nosza chruby waciok. Zamroczyło mie yno od tego szlagu, ale nic mi ni ma. Zresztom kto by miał wom pomóc? Baby, bajtle a starziki? Dyć prawie wszyskich chopów zabiyli przy obronie abo wziyni do niewole. Jo bez cufal sam trefiył, bo mie z poczontku bitwy wciepli na fura z rannymi, bo se myśleli, żech je fest poharatany

od tego szczału, ale mie yno zatkało i trocha juchy żech gymbom puściył, ale jak widać mom sie dobrze.

PATER LAURENTIUS:

Ja, my wszyscy momy sie dobrze, ciekawe jak długo. Już sam stojom pod kościołym te kacerze, yno czekać, aż sam wlezom i nos wszystkich pozbijajom.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Doczkejcie, nie wyrokujcie tak wartko. Jak by chcieli nos powybijać, już by fojera podłożyli. Jo wiem, że to som heretyki, ale można nie som tak blank bez sumiynio. Tukej som yno baby z bajtlami a starziki. Co mogli, to już wyszabrowali, moze nos puszczom, doczkejcie, co sie stanie.

PATER LAURENTIUS:

To nie som ludzie! To som heretyki! Sodomity, zaprzedańce i czorty wcielone! Tyn jejich prziwódca, tyn cały Prokop, to ponoć diobła pod sutannom nosi. Som eś widzioł, co na polach zrobili. Jo słyszol tyn huk i widziołech, jak sie tam czorno kurzyło, choby sie zymia otworzyła i z samego piekła leciało. Nie bojej mi, że oni mogom mieć sumiyni.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

No ja, to je recht, jak zaczi szczylać z tych swoich flintów, to aż sie zymia zatrzonśła, czorno było tak, że ich aż tyn kurz zasloniył. Smrodu pełno, aż konie kuckały. A jak kery takim patronym dostał, to byda pieronowo. Rynce, nogi pourywane, a jak kto w brzuch oberwoł, to od zadku całe plecy mu wyruwało! No, ale tam my stoli zbrojno, żeby sie bronić, a tu już ni mo im sie kto postawić. Ponboczek nie dali nom wygrać, niestety. Kej już nos tak pokoroł za nasze grzychy, to można terozki już nom odpuści najgorszy los.

PATER LAURENTIUS:

Młody żeś je, to w szczynśliwy koniec wierzysz, ale jo nie taki rzeczy widzioł, i niejedna wojna ech przeżył. Terozki oni szabrujom chałupy, a jak skończom, to sie weznom za nos. W kościele za moc dobra je. Jo wiem, co oni robiom, jak już wlezom do miasta. Każdy bydzie musioł stracić życi. Obecne abo wieczne.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Co to godocie, pater? Godejcie jaśni, bo nie rozumia.

PATER LAURENTIUS:

Abo Cie zabijom, i to jeszcze ni ma taki najgorsze, bo wtedy zaroz pódziesz do nieba jako mynczynnik, abo kożom Ci zmiynić wiara na jeich herezjo. Wtedy Ci darujom żywot, ale śwynty Pioter już Cie do rajy nie puści, a diobły już do Cia kocioł z terom zacznom grzoć. Nie ludy się, synek, nie bydzie dobrze.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Pieronie... To w takim razie ja się tak łatwo nie dam. Zanim mnie zabijesz, sam im krwi upuszczasz. Chociaż trochę tych gładów na świecie będzie myni! Yno, pierona, ani broni żadnej nie mam. Miecz kasa na polu został, jak mnie ty patron położył, a mizerykordiom wielu im nie zagroza.

PATER LAURENTIUS (*po chwili milczynie*):

Doczkej, synek, kiedyś stary rycerz Niclas zostawił sam swój miecz, jak spod Tannabergu wrócił z pryncym Janym. Niby wygrał, bo po Jagiełłowej stronie stanął, ale tak go sumiynie gryzło za to, że tela krwi zakonnej przelał, że przisiogł tukej przed Ponboczkiym, że już wyincy na chrześcijana miecza nie dźwignie, i swoja broń tukej jako wotum zostawił. Po prowadzie normalnie bych żadnemu tego miecza nie dał, żeby kogo zabić, ale husyty to nie chrześcijany, bestóż moiesz zbijać wielu chcesz. Doczkej chwila, zaraz Ci go prziniesie.

*Farorz wylazuje. Chwila po tym przichodzi Hedwig.*

HEDWIG:

Hanko! Nic Ci nie ma? Słyszałaś, że Cie ponoć poharatali fest i że już ja po Cia na amyn, ale widza, że normalnie godosz i depcesz.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Hjdylusia! Słońce moji, ukochano, jak ja je rod, że Cie widza. Mie nic nie ma, zemdliło mnie yno, patron mi tako dziura w zbroji zrobił, ale nie przebił mi nic w środku.

HEDWIG:

Całe szczynści. Chociaż tyś mi został na tym świecie. Co z nami będzie, Hanko?

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Nie wiem. Trza czekać. Farorz godajom, że nie dożyjemy do rana. A czemu ty godosz, że yno ja Ci został? A Twój foter? Mutra?

HEDWIG:

Ponoć martwi. Mie tam nie było, boch z siostrami w kościele na rannych czekała, coby ich ratować, ale nasz pochoł, Paul, jak szoł nazot do dom z pola, to widziol, jak najechoł nos ty pieroński zdrajca...

*Z drugie strony dźwiryzy stowo w tym momynie Waclaw i fest po nich dupie.*

WACŁAW Z ROGOWA:

Farorzu Wawrzyńcu! Farorzu! Odezwi się, ty pieroński gładzie! Ty klecho po ciulany! Słyszysz mnie, usrańcu?!

HEDWIG:

To on! Wilk z Rogowa. To tyn gizd tam był. On nos sprzedał wszystkich i husytów sam skludził. On mi ojców zabił!

WACŁAW Z ROGOWA:

Farorzu! Godej do mie, paciuloku!

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Farorza ni ma. Co chcesz, pieroński ryczypysku?

WACŁAW Z ROGOWA:

A to kto? Dobrze słysza? Hanko? Ty jeszcze dychosz? Słyszolech, żeś za piyrszego pod od szczalu z flinty.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Dychom i mom sie dobrze. Za to słysza, że tyś rozum stracił, a i dusza chyba też, kej sie z heretykami trzimesz.

WACŁAW Z ROGOWA:

Trzimia z mocniejszymi, a mocniejszy je tyn, kerego wspiyro Ponboczek, czyli my! Was Ponboczek opuścił, wszyscy Zygmuntowe krucjaty padły, biskup we Wrocławiu sie trzepie ze strachu, a papiyż też ni mo na nos siły. Ale styknie tego, kej farorza ni ma, to Ciebie powiyom, co mom pedzieć. Żodnymu nic nie zrobymy, wszystkich zostawiyemy w spokoju. Warunki momy taki. My i tak wlezyemy do tego kościoła i tak, abo siyłom, abo po dobroci. Rano chcymy se tu mszo zrobić, ale ku tymu muszymy piyrsze wyciepnyć i spolić wszyscy wasze fałszywe figury i obrozki. Kto do nos na mszo przidzie i przijmnie z kielicha, tymu nawet oddomy to, co z chałupy miół wziynte, a można i co jeszcze dostanie. Reszta moge wyłyż w spokoju, żodnymu nic nie zrobymy. No, chyba że on som na co gupigo przidzie, to wtedy nie rynczymy za sia. Drugo rzecz je tako, że farorza tako łaska sie nie tyczy, onego i tak powieszymy na stromie na rynku, abo lepszy spolymy rowno z tymi figurami, tak jak nom eście na stosie spolyli Husa w Konstancji. No, chyba że sie swoi fałszywe wiary wyprze, z kielicha przijmnie i do porzondku zacznie ludzi nauczać. Osobno rzecz je tako, że Hedwig nic sie nie stanie, bo ona symnom do mie pódzie i mojom babom zostanie. Ale to już je mój prywatny warunek. Jeji ojce źle zrobyli, że mi jom nie dali, jak ech ich grzecznie prosił. Terozki mom już od ni błogosławiyństwo, boch se siyłom wzion.

HEDWIG:

Pryndzy z wieże kościoła skocza, pieroński morderco!

WACŁAW Z ROGOWA:

Nie rycz, Twój foter wiedzioł, co robi, jak moja propozycja odciep. Padołech mu, że sie pomszcza za ta zniewaga, to mo. Ty tu zresztom ni mosz nic do godki. Ni mosz tela odwagi, coby z tej wieże sie ciepnyć. Bydziesz moja i fertich. A reszta też niech nie zgrywo mynczynników, coby wom nie prziszło do gowy sie dać zabić za te pora obrozków i tego cygona farorza. Zastanówcie sie nad tym, jo za chwila przida po odpowiedź.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Co za beszczelny gizd!

HEDWIG:

Jeronie, to je od nich miłosierdzi? Farorza spolic, a reszta na głód zostawić bez niczego. To już lepszy umrzyć od razu, moge rychtyk sie z tej wieże ciepna. Abo i wszyscy my powinni.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Dej pokój, dyc Racibórz i Żory sie ostoły, princ jakoś wszystkich wyratuje.

HEDWIG:

Szkoda, że nom terozki wojoków nie posłoł, żeby tym pieronom naciulać. Zamiast tego sie w Raciborzu za murami zawrzył i siedzi radosny, że onego tam tak leko nie dostanom. Hanko, co snami bydzie?

*Hedwig zaczyno płakać i wtulo sie w Hanka. Po chwili wlazuje pater Laurentius z długim zweihanderym w rynkach.*

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Cóż to mocie za dupny ajzynblat?

*Rycerz chyto broń i woży w rynkach. Macho na próba.*

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Troszka stary, zaruściwały i tympy, ale moge jeszcze posłużyć.

PATER LAURENTIUS:

Oselka też mom, nabruś se go do porzondku. Nie ślimtej, dziółcho, i nie dziwej sie tak na mie. Ponboczek już nom wszystkim łózka ściele w raj.

*Hedwig zaczyno ryczeć jeszcze bardzi. Farorz dziwo sie pytajonco na Hanka.*

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Farorzu, był sam Wolf, znaczy sie Waclaw z Rogowa. Padoł że wszystkich puszczozom wolno, chcom yno spolic świynte figury i obrozki... No i wos też, chyba że sie wiary zaprzecie i do nich przistaniecie.

PATER LAURENTIUS (*żegno sie ośłupiały*):

Taki gizd zaprzედany, gańba mie je, żech mu kiedykolwiek komonia dowoł. Co za piedron. Trudno, jo już sie pogodzył z tym, że dzisie j mi przidzie umrzyć. No nic, otworzymy im rano, ale i tak mu nie wierza, boja sie, że nie yno mie bydom chcieli zabić i sie darymnie krwie wiyncy rozleje. Nie zostaje nom nic innego jak rzykać i czekać. Jo ida ludzi spowiadać, wy też do konfesjonału przidźcie.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jo spowiadałech sie przed bitwom, posiedza tukej, jakby zaś kery prziszoł co pedzieć.

*Farorz i Hedwig wylazujom.*

BINA DRUGO

*W przisiynku siedzi som Hanko i pucuje miecz. Do dźwiryzy z drugi strony podchodzi Waclaw, godo do kogoś za sobom. Hanko stowo zaroz, jak to słysz y.*

WACLAW Z ROGOWA:

Doczkejcie sam, jo śnimi byda godoł, myśla że nie trza bydzie tego tarana robić. Sami te dźwiryze nom otworzom.

*Wali w dźwiryze i ryczy.*

WACLAW Z ROGOWA:

Farorzu?! Hanko?! Je tam kery?!

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Nie rycz tak, słyszać cie dobrze. Wnioskuja żeś tam terozki ni ma som.

WACLAW Z ROGOWA:

Hejtmany nasze som symnom. Chcieli my sie spytać, czy po dobroci otworzycie tyn kościół, czy momy jaki strom na taran ścinać.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Z oficyrami eś tam je ja?

*Podnosi głos*

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Rano otworzymy wom te dźwiryze, liczymy że dotrzymiecie słowa i żodnymu nic nie zrobicie! Ale co sie mie tyczy, to jakeś je rycerz, tak przed tym wszystkim chca pojedynku z Tobom! Hedwig była mie obiecano, i chca jom bronić



przed takim ciułym jak ty, co za raubrittera wiyncy robi niż za porzondnego człeka! Bestóż oświadczołm wszystkim tym, co słuchajom, żeś je heretykiym, cygonym, zdrajcom, sodomitom i paciulokiym! I że wyzywom cie na udeptany plac na prawy pojedynek wobec Ponboczka i świadków. Stowosz?!  
WACŁAW Z ROGOWA:

A po co miolbych z Tobom do walki stować? Jak bydziesz sie stawioł, to Cie naokoło oblezemy i razem z farorzym na fojera pódziesz.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jo dobrze wiym, że Ty som fest chciołbyś mi łeb ucionć i pryndzy czy nie-skorzi to zrobisz! Po co mosz czekać! Mogymy sie zaroz spróbować! Zawsze sie asisz, jakiś to je mocarny w mieczu. Mie też eś zresztom kiedyś groziył. No, chyba że do tych moich obelg mom jeszcze dołożyć, żeś je tchórzym?! A, i co se o Cia pomyślołm Twoi hejtmany, jak od takigo pojedynku ze skulonym ogonem sie cofniesz?

WACŁAW Z ROGOWA:

Szprytnie eś se to wyforsztelowoł. Teraz rychtyk gupio mi sie bydzie wycofać. Ale mosz w jednym recht. W mieczu i tak mi nie dostoisz. Momy północ. Za trzi godziny przed kościołym mozesz być? I jakim orynzym sie chcesz prać?

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Ja, moze być za trzi godziny. Jo sam mom yno zweihandera, bestóż śnim stana.

WACŁAW Z ROGOWA:

O toś przepod, nie takich miszczów ech na zweihandery kłod. Tu Ci młodość i siyła nie pomogom, bo tu sie technika liczy, synek. Rzykej paciorki, bo to som Twoi ostatni godziny na tym świecie.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Sie o mie nie starej, mom wiyncy te techniki, jak se liczysz. Yno tak, co jak otworzymy dźwyrze, nie zrobicie nom tu jakigo cygańskiego ataku. Reszta umowy stoi jak stoła, rano ludzie se w pokoju wylezom?

WACŁAW Z ROGOWA:

Ja, ta walka to sie yno nos dwóch tyczy. Żodyn wiyncy oprócz Ciebie nie uciyrpi.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jak jo wygrom, to przisiyngni, że żodyn z Twoich na Hedwig nie bydzie nastowoł.

WACŁAW Z ROGOWA:

Ha! Jak Ty wygrosz? Łudzisz się, synku, ale dobre, żyj te ostatni godziny tom nadziejom. Dowom Ci na to moi słowo, ale i tak taki wyrostek jak Ty nie po-

kono starego wojoka, kombatanta! Wygrom, a potym se wezna Hedwig do sia, a do ślubu to jom i przymusza jak trza bydzie.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Piyrsze musisz mie ukatrupić!

WACŁAW Z ROGOWA:

To nie bydzie ciynżki. Myślisz se że czamu mie Wolfym nazwali?

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Boś je zbój i raubritter. W nocy na ludzi napadosz jak jaki wilk pieroński właśnie!

WACŁAW Z ROGOWA:

Teroski eś przesadziył! Pokoża Ci, jaki Wilk je niebezpieczny, ty usrany potrzepañcu! Czekom sam za trzi godziny!

*Wacław odchodzi spod dźwiyrzy. Do przisiynka wlatuje Hedwig i pater Laurentius.*

HEDWIG:

Coś ty zrobiył, umiyłowany mój! Dyc tyn zbój Cie zatrzaśnie na amyn. Myślisz że na darmo sie go wszyjscy w okolicy bojom?

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Nie ściyrpia coby tyn gizz mioł Cie siyłom u sia wyznzić. Abo jo go zabija i jako z tego wyńdymy, abo on mie i przinajmni nie byda na to zaglondoł.

PATER LAURENTIUS:

Po coś go wyzywoł? Zginiesz darymnie, a tak mogeś wylыз rano ze wszyskimi.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Ni, ni, pater. Nawet jakbych wyloz, toby mie dopod jutro, za tydzinyń, abo za miesionc. Dyc wszyscy wiedzom, że Hedwig była mie obiecano, a nie onymu. A jakech rycerz to ni mógbych po cichu ściyrpieć tego, co on planuje. Ni, ni, losowi trza w pysk zajrzeć i rozwionzać to sam i teraz. Mom nadzieja, że Ponboczek pamiynto, że mu co niedziela nie skompia srebra, jak do koszyczka trza ciepać.

PATER LAURENTIUS:

Bluźnisz, synku! Przeżegnej sie wartko dwa razy!

HANKO Z JEDŁOWNIKA (*żegno sie jak farorz przikozoł*):

Przepraszom. To z nerwów nad tym ciułym. A wy, pater, co bydziecie robić? Chyba nie docie sie żywycym spolić, co?

PATER LAURENTIUS:

Nie bluźnij sam! W kościele żeś je. A jo w Ponboczku pokłodom nadzieja. Kej uznoł, że mi sie mynczyńsko śmierć należy, to musza to strzimać, choć strach mom taki, że mi je durch zima po plecach.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jak chcecie, to mogecie sie z wieże ciepnyć. Wartko śmierć i bezbolesno. A w ogniu to bydzie obłynd. A jak wy bydziecie ryczeć i dusza oddować, to oni sie jeszcze rzać bydom. Oszczyńdźcie nom tego widoku, a wom samym ciyrpynio. Abo zaprzicie sie wiary na chwila, ocygańcie ich, a potym dali normalnie po bożymu ksiyndzym bydźcie.

PATER LAURENTIUS:

Ni moga. Widzisz, synek, mynczynnik od razu idzie do raju, ani w kolejce u śwyntego Piotra stoć ni musi i na Gerycht czekać. A jak se kery samymu żywot odbiyro, to od razu do piekła musi iść i ni ma zmiłuj nad takim. A jak bych sie Ponboczka zaprzył, to i on by sie mie zaprzył po śmierci potym.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Hmm, to może jo wom tych ciyrpyń ukróca. Jedyn szlag mieczym i mocie spokój, wieczny odpoczynek nawet.

PATER LAURENTIUS:

Ty mi sam za kata nie próbuj robić! Roz, że to je to samo co samobójstwo, a dwa, że jakbyś to zrobił, tobyś musioł do Wrocławia piechty do samego biskupa ciś, żeby ci zabici duchownego odpuścił! Skończ taki gupoty godać i lepszy sie szykuj. O kerej sie to mocie pracć?

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jak piźnie trzi.

PATER LAURENTIUS:

O pieronie! To jego czorcio godzina, wtedy tyn pieron bydzie dwakroć mocniejszy! Toś wtopił synek. Liczyłeś se, że go fortelym zaskoczysz, ale to on Ciebie tak rychtyk wycyganił. Już eś przepod.

HEDWIG:

Och, Ponboczku, i co teraz? Jak umrzesz o tej godzinie, to Cie chyba diobli nie weznom, ni?

PATER LAURENTIUS:

Dusza ocali, ale umrzyć mu przidzie na pewno. Tyn heretycki gizd dobrze wiedzioł, co robi, jak ci ta godzina wyznaczył.

HEDWIG:

Idzie to jako odczynić?

PATER LAURENTIUS:

Wszystko idzie, trza fest rzykać yno.

HEDWIG:

To jo ida zaroz.

PATER LAURENTIUS:

Wszyjscy najlepszy pódymy.

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Jo sam ostana, tyn ajzynblat musza nabrusić do porzondku, bo z tymym to mu na pewno nie dostoja.

*Farorz i Hedwig wylazujom. Hanko siodo i brusi swojigo zweihandera.*

#### BINA TRZECIO

*Dochodzi trzi. Spod dźwyrzy znikły ławki i inszy werkcojg, co ich sztrabowoł. Hanko klynczy na zoli, je już opancerzony i gotowy do walki. Nad nim stoi farorz ze stułom na karku i kropidłym w rynce.*

PATER LAURENTIUS:

Niech cie, synku, prowadzi Ponboczek i wszyscy Twoi patrony, świynty Jorg, Marcin, Mauryc, Kristof i archanioł Michał.

*Kropi Hanka, potym sie cofie. Podchodzi Hedwig z szatkom.*

HEDWIG:

Odymie mosz ta szatka, inszymu rycerzowi moigo znaku bych nie dała, pamiyntej o tym, że i o mie tam walczysz.

*Dziolcha wionże mu na karku szatka i przitulo sie ostatni roz. Z drugi strony dźwyrzy podchodzi gotowy do walki Wacław i zaś po nich wali.*

WACŁAW Z ROGOWA:

Hanko! Jeżeś gotowy na śmierć?! Wylazuj! Sam już wszyscy czekajom na te przedstawiyńi. Wiysz, ci zza Olzy to głównie chłopy nieuczzone, świata nie znam, mało kery widzioł, jak sie rycerze pierom. Całe szczynści miesionczek dzisio jasno świyci, to se wszyscy te przedstawiyńi obejrzom. Při okazji. Czy farorz sie namyśłył? Bo sam już momy cało fura drzewa nazbiyrano na niego. Przestanie cyganić ludzi, czy momy go tam za chwila zakludzić?

PATER LAURENTIUS:

Bydziesz za to w piekle goroł, zaprzedańcu! Nigdy wiary sie nie wyprza!

WACŁAW Z ROGOWA:

No to zaroz jak pozamiatom tym pyskatym młodzikim bydziesz móg wyłyż. Radza Ci is po dobroci, bo jak Cie trza bydzie gonic po kościele, to sie komu moze za darmo tam bez cufal oberwać.

*Farorz sztywny ze strachu i nerwów idzie otworzyć dźwyrze. Usuwo sztraba, dźwigo skobel i otwiyro. Hanko wylazuje przed kościół, żegno sie ostatni roz, dźwigo zweihandera i stowo w gardzie.*

WACŁAW Z ROGOWA:

Z leka ajnfachowy mosz tyn ajzynbłat, czymś takim chcesz symnom wojować? Ty rychtyk wartko chcesz umrzyć.

*Wacław nacyro na Hanka. Walczom, zwiyrajom sie i cofajom. Widać wyraźno przewaga Wacława. Po krótki chwili Hankowi wypaduje miecz z rynków. Wacław szyderczo sie rzo, ale pozwoło mu go dźwignyć i walczom dali. Po dlukżej chwili stary rycerz atakuje fest silnie z wyrchu i łomie postawiony w gardzie miecz Hanka. Zweihander wbijo sie w naramiynnik i rani młodego rycerza. Wacław pociongo broń do sia, ale ta sie klinuje i Hanka razym śnim leci do przodku, pado na kolana, ale wypuszczco wartko resztko złomanego miecza, wyciongo sztylet i wartko wbijo go miyndzy spojyni zbroje wroga w okolicach basa. Wacław zataczo sie i pado martwy na pleca. Hanka stowo, trocha sie kwieje, ale idzie nazot do kościoła. Hedwig ślimce, jak go widzi, pado na kolana.*

HANKO Z JEDŁOWNIKA (*wykończony*):

Dokonało sie. Już Ci żodyn nie zagrazo, Hyjdlusia, a Twoi ojce som pomszczzone.

PATER LAURENTIUS (*cały sie trzepie już*):

Dokonało sie. Terozki jo musza mój kielich wypić.

*Farorz sztywno ruszo ku dźwyrzom, też sie kwieje.*

*Naroz droga zastympuje mu Hanka i onego też żgo mizerykordia pod żebra.*

*Farorz jynknył i wytrzeszczyl ślypia na niego, ale nic nie padoł już.*

HANKO Z JEDŁOWNIKA:

Nie dom wom tam ciyrpieć. Spoczywejcie w pokoju, pater. Do Wrocławia ni mom daleko.

# WOJNA Z TURKAMI

---

**Lidia Michalska**

OSOBY:

TRUDA – między 40 a 50 lat, dość gryfno, ale nerwowo

FRANC – jej chop, kole 45 lat

MAŁGOLA – ich dziółcha, studentka, 23-24 lata, fest gryfno

TUREK – tak samo stary jak Małgola, łogramnie szykowny synek  
(skuli fleka w liście Jurek został Turkiym)

SCYNA PIYRSZO

*Zwykło izba, dość bogato urzondzono. Franc siedzi przy stole i czyto gazeta. Truda nie umi se znojść miejsca – lazi, siodo, idzie do łokna i zaś siodo i tak dalij. Truda to je jeszcze szykowno baba, mo trwało i farbione włosy, ni ma za chudo (widać, że mo sie dobrze przy chopie). Franc je blank łysy, na dodatek dužo chudszy od swoij baby.*

TRUDA:

Jo Ci godom, Franc, jo go zabija!

FRANC (*podnosi łeb znad gazety*):

Kogoż zaś tym razym?

TRUDA:

Tego pierońskiego Turka!

FRANC:

A co Ci biydne Turki zawiniły? Te szmaty turecki, co na torgu kupujesz zdrożały?

TRUDA:

Nic do Turkow ni mom, ty wiysz, że jo dycki fest tolerancyjno była! Tego jed-nego pierona zabija, co sie z nim nasza Małgola prowadzo!

FRANC (*wreszcie odkłodo gazeta*):

Co, z Turkiym?! Nie fanzol!!! Jo jom zabija!

TRUDA:

Dyć ech Ci godała wczora! Ale tyś mecz łoglondoł – dyć słyszysz, jutro tu przijadom. A jo Ci godom, że to jes jedyne wyjści – yno że nie jom trza za-bić, yno jego!

FRANC:

Co Ty, babo, godosz! A Ty w ogóle to skond wiysz, że ona sie z Turkiym smyko!

TRUDA:

Dyc czytej, co tu jest napisane:

„Mamo, poznałam jednego Turka...” i dalij stoi „... jest przystojny i bardzo porządny...” i jeszcze dalij „... wkrótce Wam go przedstawię...”

Sratatata... „Wkrótce”, „przystojny”. Nie dość, że dziółcha pisze, jakby sie z jakim gorolkom na rozumy pomiyniła, to jeszcze z Turkiym sie zolyci! Boże, tako gańba!

FRANC:

A wiewa flekow na tym liście!

TRUDA:

Flekow to jo narobiła, bo jakżech tyn list otwarła, tocz zarozki miała złe przecucia i żech dwie paczki chałwy zjadła przy czytaniu, to i mosz fleki. Zresztom, fleki nie fleki – ale tyn Turek pierziński! Nasze przodki z Turkami kanś tam wojowali, a ona z Turkiym... nie powiyem co!

FRANC:

Tyż wojować zacznie... po ślubie!

TRUDA (*dowo mu gazetom bez łeb*):

Franc, bo jo zamiast jego Ciebie łotruja! Ty lepij mi pomoż to wszystko uplanować!

FRANC:

Ale babo! Ty chcesz na stare lata w wyznizniu wylondować, abo w Rybniku, na Gliwickij? Ogupiałaś już całkiym! Wiysz, co to je morderstwo? O czym Ty godosz, Ty chcesz chopa zabić?

TRUDA:

A dyc jo go nie chca zabić tak całkiym na śmierć!

FRANC:

Nie na śmierć? Toż jako, do połowy? Kiero połowa chcesz mu zabić, ta dolno czy wyrchnio?

TRUDA:

Już jo wiym, kiero bych mu chciała zabić. Ale słoczej, jaki mom plan! Pamiyntosz, że jak żech po operacji była, tocz miała problemy ze spaniyem, ni?

FRANC:

Pamiyntom...

TRUDA:

Od doctora żech wtedy miała przepisane tabletki na spani. Jo je nawet wykupiła, ale żech ich nie brała, żeby sie nie truc... A że jo nigdy niczego nie wyciepuja, to jo je dalij mom!

FRANC:

I co, chcesz, żeby sie u nos dobrze wyspoł?

TRUDA:

Nie nerwuj mie! Słochej, co jo umyśliła. Jak jutro przijadam, to my ich musimy prziwitać choby nigdy nic – nojlepiej chlebym i solom, a do tego coś mocniejszego. I tam mu sie te tabletki wciepie!

FRANC:

Toż gupio wymyśliła, dyc on je Turek, on Ci sie gorzołki nie chyci!

TRUDA:

Toż durch cudok, a Ty sie dziwisz, że jo go chca łotruc – wyobroź se potym taki weseli, jako łon nie pije... Ale to trza co inkszego wymyślić. Prziwitać ich godnie, żeby sie nie pochyтали...

FRANC:

Nie godej, weseli bez gorzołki?! (*myśli bez chwila*) Ale doczkej... Może to, co godosz, to taki głupi ni ma. Ty, a jakby mu to do zupy z nudlami ciepnonć? Abo do wody?

TRUDA:

No, i powiymy im, że to u nos tak sie gości wito, a Małgola sie nie pochyto, bo je przeca zakochano.

FRANC:

No dobra, babo, ale co bydymy z takim usnytym Turkiym robić! W zegrodce go zakopiesz?

TRUDA:

Ja, coby mi jorginy pousychały! Ni, wtedy sie podzielymy robotom. Jo Małgole zakludza na wyrch do łaziynki, coby sie wykompała po rajzie i siedna se z niom na taki niby babski plotki. Ty wtedy wciepiesz Turka do auta, jego manele z nim i wywieziesz kaj w pole, yno bele daleko. Tam go łostawisz. No, zachowej sie jak chrześcijanin i wciepnij mu tam kaj setka, coby mioł jako za autobus zapłacić. Potym sie Małgoli przegodo, że sie synek wystraszoł i zwioł.

FRANC:

No a czy sie oni nie zacznom szukać?



TRUDA:

Ty sie też, Franc, nic na babach nie znosz! My som inksze, delikatne. Ona bydzie miała serce złomane i honor jej na to nie pozwoli. A on – żech Ci już pa-dała – u nas sie durch potraci. A jom, jak sie wakacje zacznom, sie do Omy wywiezie, do Niymiec. Tam na pewno wszystko zapomni, jak jom Oma fu-trować zacznie i po sklepach ciongnonć.

FRANC:

Ja, ale zapomniałaś, że Twoja matka z nami nie godo łod czasu, jak nasz Marek w zeszłym roku kartka z życzyniami na geburstag do jej drugigo chopa posło!!!

TRUDA:

Nawet mi nie spominej! Tako gańba – jo go tu prosza, żeby posłoł życzynia, jak sie już Omie drugigo chopa zachciało, coby wiyenzi rodzinne nawionzać, a on mi takij gańby narobiół.

FRANC:

Ciebie by tak na wiyenziach nie zależało, jakby Willi nie boł taki bogaty! Nawet Ci nie przeskadzo, że Niymiec.

TRUDA:

A co by mi miało przeskadzać! Dyc moja matka już lata jak w Niymcach siedzi i co to za Niymiec z tego Willigo, jak on po polsku rozumi. No i sku-li tego całe to nieszczynści!

FRANC:

A poczkej, poczkej, jako to Marek zaś w tej kartce napisoł?

TRUDA:

Do śmierci tego nie zapomna (*przimrużyła łoczy i godo z pamiynci*):

„Drogi Willi

pozdrowienia od debili!

Prześlij nam swój majątek

tego Ci życzy banda wnuczątek”.

Jak mi matka z Niymiec zadzwoniła, jo myślała, że sie z gańby spola. A smark jedyn mi sie tłumaczół, że roz chcioł prowda napisać.

FRANC:

No i przinajmij momy tera spokój – Twoja matka co drugi dziyń nie dzwoni.

TRUDA:

A weż Ty sie w łeb walnij – dyc tera ona je najbardziej potrzebno. Ale to sie potym załatwi, że niby nasza Małgola z przeprosinami pojedzie. Boże, wiewa jo mom na głowie, całe to łotruci trza jeszcze dokładnie uplanować

i przemyśleć. Dobrze, że chociaż łobiod na jutro mom gotowy i ciasto upieczone, teraz yno to łotruci.

FRANC:

Ale łotruci to Ci musi sie udać, dyć Ty, Trudka, mosz taki miano już toksyczne...

TRUDA:

Siedz cicho, bo i Ciebie łotruga. Ty lepij powtórz zy mnom cały plan – jo zajmują sie truciym i łodciongniynciym Małgole, Ty pozbywosz sie Turka, do wosz mu piniondze i wracosz. Pocieszomy jom razym, a jak pozdowo egzamininy i wakacje sie zacznom, to jom do Omy wysyłomy. I za jednym kosztym dwie sprawy załatwiomy – pozbydymy sie kawalera i przeproszomy moja matka. Aha, no i se tak myśla, że lepij jednak sie naszego Marka z chałupy pozbyć na czas tego trucio.

FRANC:

Coby go nie łotruc?

TRUDA:

Ni, żeby zaś z czym mondrym po swoimu nie wyskoczoł. I wtedy bydzie spokój.

FRANC:

Spokój to sie dopiyro skończy, jak Twoja matka zaś tu zacznie w nocy wydzwaniać...

TRUDA:

A, siedź cicho, chopie, ty byś bezy mie zginoł jak Andzia w parku. Podź, idymy spać, bo nic nie wymyślomy.

#### SCYNA DRUGO

*Przecionek, Truda i Franc zaglondajom bez łokno. Za nimi łotwarte dźwyrze do tej izby, co wczora siedzieli. Kole tego dźwyrze do kuchni, tyż łotwarte.*

TRUDA:

Przijechnali, jezderkusie, już som. Wszystko momy gotowe?

FRANC:

Nie panikuj, babo, bo zacznom coś podejrzywać. I tak zarozki z tom truci-znom nie wyskakuj, bo coś podejrzywać zacznom. Poczekej, to sie przed łobiadym załatwi.

TRUDA:

Ale dziwej sie tymu Turkowi, rychtyk szykowny. I wcale tak fest ciymny ni ma...

FRANC:

Beztoż że to nie je Murzin, yno Turek. Ale leć już otwiyrać dźwyrze.

TRUDA:

Jezderkusie, dyc jo nawet nie wiyom, co mom padać, jako go przywitać!

*Trudka leci otwiyrać dźwyrze i wpuszczo gości, potym wito ich po swoimu.*

TRUDA:

Salem alejkum! Łelkam! Hello! Guten Morgen!

MAŁGOLA:

Matka, tyś za dłogo na słońcu w zegrodce siedziała? A godałach Ci, że już w Twoim wieku sie nie łopalo! Zresztom poznejcie moigo narzeczonego. Mamo, Tato, to je Jurek. Jurek, to je mama i tata. Matka tak normalnie z drogi nie godo, yno dzisio chyba emocje zaszkoziły.

TRUDA (*durch potracono*):

Jurek??? Jurek??? No witejcie, witejcie w naszym domu.

FRANC:

Witejcie, witejcie! (*potym szepce cicho do Trudy*):

Staro, coś Ty zaś pokrynciła?

JUREK:

No Jurek, abo Jorguś, jako wolicie.

TRUDA:

Jorguś? Toś Ty ni ma z daleka?

JUREK:

No ni, chocioż nikerzy godajom, że z zagranice, bo jo je z Sosnowca. Ale matka pochodzi z Mikołowa.

TRUDA:

No, ale co tak stojmy, podźcie dalij, witomy gościa, witomy. Siednijcie se. Małgola, a Ty mi pomożesz w kuchni, chopy se tu posiedzom, pogodajom.

MAŁGOLA:

Co matka, dzwoniłaś już do CBA abo CBS? Abo jeszcze lepij, do Rutkowski-go? Czy chcesz łodymie wszystko wiedzieć?

TRUDA:

Ty mie tu nie strosz! Ty mi lepij powiydz, czamu mi koniny o jakimś Turku pi-szesz, a z porzondnym synkiym przijyżdżosz! Wielu Ty tych kawalerow mosz?

MAŁGOLA:

Matka, żeby Ci sie alzheimer tak pryndko zaczynoł... Jaki Turek?!

TRUDA:

Dyć tu mom tyn list łod Ciebie. Stoi jak byk, że poznałaś jednego Turka.

MAŁGOLA (*loglondo list*):

Matka, a co żeś jadła, jak żeś to czytała? Chałwa? Marcepan? Bombony czy ciasto?

TRUDA:

To piyrsze...

MAŁGOLA:

No i tak żeś za pomocom masnego fleku z Jurka Turka zrobiła! Przyjrzyj sie!

TRUDA:

I tyś mi nawet nic nie dzwoniła!

MAŁGOLA:

Po což dzwonić. Zawsze mie opieprzosh, że to dużo kosztuje. A ryczysz tak do słochawki, że potym bez tydziyń nic na ucho nie słysza. Ale matka – Ty to byś miała ksionżki pisać, kryminały... Już to widza w ksiyngarni... Leżom kole siebie: Stieg Larsson „Mężczyźni, którzy nienawidzą kobiet” i Trudka Kowolikowo „Baba, kiero boła sie Turka”. I to wszystko skuli jednego fleka.

TRUDA:

A tam, co Ty godosz, jaki kryminały... Dyć jo sie na kryminałach nic nie znom... Ale, ale... Dziólcho kochano! To ty naprowda żodnego Turka tam ni mosz? Yno tego karlusa? Chwila, dyć tyś mi przed chwilom padała, że to je Twój narzeczony!

MAŁGOLA:

Ja! Dziwej sie, jaki mi pieszczonek kupioł!

TRUDA:

Jezyna, jaki piykny! A jaki kamiyń wielki! To my bydymy robić weseli!!! Ale babciom nie byda?

MAŁGOLA:

Ty yno o jednym... Ni, przinajmij nie teroz. I na to weseli też sie zaroz nie ciesz, my łoba studia pokończyć muszymy.

TRUDA:

Aaaa, jak to je studynt, to on na grubie nie robi... Jako on Cie potym utrzimie?

MAŁGOLA:

O to niech Cie głowa nie boli. Jego łojciec mo dwie firmy: jedna handluje autami – trzy salony majom, a drugi to łogromny warsztat. I już moimu Jurkowi padoł, że te salony na niego przepisze, a on se na stare lata yno warsztatu pilnowoł bydzie.

TRUDA:

Moja dzioła! Moja kochano dzioła! Wiysz co, podź do nich idymy, bo to tak nie wypado gościa samego zostawiać. Jeszcze sie łobrazi.

MAŁGOLA:

Poczkej, słysza, że oni tu idom.

*Wchodzi Jurek z Francym. Jurek trzimie fest wielki bukiet kwiotkow.*

FRANC:

Przyszli my do Vos, bo chyba musicie przy tymu być, a my sie Was doczkać nie umieli. Jo juz je durch potracony... (*gapi sie na Truda, nie wiy, co mo robić*)

JUREK:

Słochejcie. Jo Wom chcioł uroczyście oznajmić, że jo zdołoł sie na odwaga i prosioł zech o rynka Wasza cera. Ona sie zgodziła, co mie łogromnie raduje. No i skuli tego, skuli tego... jo też chcioł Vos prosić... To znaczy jo chcioł... Kurde, ale sie nerwuja!

TRUDA:

Yno spokojnie, synku, yno spokojnie, nie nerwuj sie... No, coś chcioł padać?

JUREK:

Kurde, aż mi w karku zaschło, napiołbych sie czego... Małgola, dej co łyknonć!

MAŁGOLA:

Ja, poczkej, tu matka mo woda nalono w takij piyknej szklonce, chyba zodyn z nij nie pioł.

*Truda uspokajo wkurzonego na nia Franca. W tym czasie Jurek siyngo po szklonka prziszukowano pryndzyj przez Truda i zaczyno pić.*

TRUDA:

Niiiiiii... Syneczku, yno tej wody nie pij!!!

*Jurek nie słyszy Trudy.*

*Koniec*

# RAJCUŁA WARZY

---

*jednoaktówka z rolą do jedynj baby,  
czyli one-woman-show*

**Alina Moś-Kerger**

Sąsiadka mojj omy mioła we kuchni tako gardina, a na nij wyłonaczony napis „Meine Küche ist meine Welt”. Popisowy łobiod tyj sąsiadki to była niedzielno nudelzupa na wołowinie, cielęcinnie i kuraku, a napis na gardinie łoznaczoł: „Moja kuchnia jest moim światym”.

Ale to nij je historyjo o sąsiadce mojj omki. To je historyjo o mie. I mojj kuchni. I moim świecie.

Lubia warzyć i wiym, że to po mie widać. To się nij ma co śmioć, przeca widza, jak wyglondom. Ja, no mogłoby być gorzyj. Jak utrzymia ta tyndencja, to bydzie. Ale co jo poradza, że w koždy dziyń warza inkszy łobiod, toć warzyć lubia... i jeść tyż. Widać po mie, pra? No i zawsze jak warza, to godom. Ani się muzyki nij puszczom, ani nic, bo lubia się tak do siebie pogodać. O maszketach i o łobyczajach, o tym, co warza, i o tym, z czym mie się to warzyni kojarzy.

Żodno to tajmnicza, że jak jo coś uwarza, to koždy się na to ciepnie. Poradzisz się powstrzymać? Wontpia. Koždy jedyn by się skusioł. Mogłabych uwarzyć taki zestaw, cobyście za jednym posiedzeniem popełnili siedym grzechów głównych, jedyn po drugim. A dioboł by stoł obok stołu i śmioł się wom w gymba. Bo to by były blank ślonskie dania, takie co już wasze starzyki tyż grzeszyli, bele ino je zjeść.

Jo wiym, co wy sie myślicie. Modo dziełta, nij wie nic o tradycyjnyj kuchni i noj-pewnij uważo, że hekele to nazwa japońskiuj krzyżówki. Prowda, bez tydziyń warza różne rzeczy: nudle z zołzom, zupy kremy, ryba na parze i inksze nowoczesne łobiody. Ale jak mie tak czasem chyci, jak mie tak najdzie, to za mnom łazi potym tako woń hauskyjzy abo smażonych karminadli. I wtedy się na nic nij łoglondom, ino warza. Ida za impulsym i warza.

PYCHA

Zaczna łod potrawy, kero może nij je tako fest kojarzono ze Ślonskiem, ale do mie to jedno z nojlypszych dań. Uwielbiom to jeść, uwielbiom to warzyć, a mój chop i mój bajtel tyż nij pogardzom.

Ladies and Gentleman, meine Damen und Herren, baby i chopy (na melodię „Ob la di, ob la da” The Beatles) – o-be-ri, o-be-ri, o-be-ri-ba! Jak ktoś umi urychtować dobry łobiod, łod razu dostowo skłonności do pychy. I niy, niy chodzi o to, że wszyscy, co to jedzą, godają „pycha!”, chociaż tyż. Jak coś fajnie uwarzysz, to wiysz, że żeś jes niypokonano w kuchni. I jo tak mom. Z oberibą.

Na zupa z oberiby musisz sie narychtować 4 oberiby, 4 kartofle, trocha fetu, mąki i szolka śmiytany, a do tygo koperek, pietruszka, sól i pieprz. Trza to pokroć w kostka, dusić na fecie przez chwila, a potym warzyć w garnku. Dodowosz śmiytana, mąka i przyprawy. I już mosz.

Pamiyntom zolyty, na kere przyłajzioł Paulek z Pnioków. Chciałach mu zaimponować, wiync łoprócz tego, że sie fajnie wysztafirowałach, próbowałach warzyć dania, kere mu przypadną do gustu. Ale Paulek mi pedzioł, że łon niy jado miynsa. To co jo mu miała uwarzyć? Jo była wtedy fest modo, niy miołach żodnego doświadczenia w kuchni, ale na szczynście oberiba ciynszko zmaścić. Ino co z tego? Jak Paulek się dowiedzioł, że ta zupa jest na śmietanie, a śmietana łod krowy, to mie ciepnął.

#### CHCIWOŚĆ

Kto lubi krupnioki? Rynka do góry! A takie w szczewie, czy takie na patelni fajnie wysmażone? Jo lubia i takie, i takie. No, ale akurat jo to mom we krwi.

Oma mi godali, że smażone krupnioki to był piyrwszy zapach, kery mój fater poczuł, jak sie urodził. To były lata 50., baby rodziły dzieci w doma. Jak już sie zaczęło, to chop lecioł po położno albo dochtora, oni przyłajzili i odbiyrali tyn poród. I jak sie rodzioł mój fater, w '56, to tyż tak było.

Opa polecioł po dochtora, bo to akurat boł sąsiod, że mo przyjś, bo Lida rodzi. A to boł chop fest przepadzity, a do tego szpendlikorz, beztuż jak ino przyszoł, to piyrwsze co pedzioł, to że oma mo mu uwarzyć coś jeść, bo jej to lepij zrobi – nie bydzie myśleć o bólu, a łon tyż niy bydzie tu siedzioł głodny. I tak padło na krupniolie, bo i tak je oma z opom mieli na łobiod zjeść.

Żeby sie fajnie uwarzyć krupnioki, trza mieć krupnioki, cybula i czosnek, fet, sól, pieprz i sznita do tego. Krupnioki można wciepnąć na patelnia w tym szczewie albo je łobrać, pokroć na mnijsze koncki i tak smażyć, razem z cybulom i czosnkiym. Doprawić i dować ze sznitami chlyba.

I tak to potym wyglądało, że omka moja leżeli na pryku i czekali, aż sie tyn synek urodzi, w bólach łokropnych, a dochtor sie siedzioł przy stole, wsuwoł krupnioki. Opa siedzioł obok i kurzył cigarety. Kiedy sie wreszcie tyn bajtel urodził i sie sztachnął

luftym, to piyrwsze co poczuł to... krupnioki! No i te cigarety łod opy, ale krupnioki chyba mają jednak silniyszo woń.

#### NIECZYSTOŚĆ

Dugo nie mogłach sie zdecydować, żeby uwarzyć żur, bo moja mamulka robi nojlypszy żur żyniaty na świecie. No to jak jo, tako niedoświadczono dziołszka, moga z nią konkurować? No ale w końcu sie odważyłach.

Żur żyniaty ze sztamfowanymi kartoflami. Jeronie, jak mój chop sie cieszy! Jak łon uwielbio żur! Ale to chyba tak jest, bo mój fater tyż uwielbio i jak sie pobrali z mamą, to łon ij kozoł durś warzyć żur. I jo już wiyw czemu. Warto żur doprawić kajeńskim pieprzem, lubczykiem i chrzanem, bo to afrodyzjaki! I beztuż do serca kożdego chopa idzie trafić bez żur w żołądku.

Nojsampierw muszemy sie przygotować zakwas na żur. Wystarczy 4 łyżki mąki żytnij, 4 ząbki czosnku i pół cybuli. Trza wrazić to do kamionkowego garczka i wlać liter gorkij wody, a późnij łodstawić w ciepłe miejsce na pora dni. A kto wie kaj kupić nojlypszy zakwas? U Kolendziny na Dąbrowskiego we Zabrze! I te pora dni późnij bieremy woda – liter i pół, wciepujemy do niyj pokrony wuszt, cybula i podsmażone szpyrki. Do tego dolewomy zakwas i warzymy, warzymy, warzymy. W miyndzyczasie rychtujemy sztamfowane kartofle. Normalnie je warzymy we wrzontku, łodcedzomy, dodowomy cybula podsmażono na fecie i sztamfujemy sztamferem. Mój chop lubi, jak do tego dowom jeszcze szpyrki.

A jak ktoś mo jakieś wątpliwości, to je zarozki rozwieja: niy, żur to niy jest to samo co barszcz bioły ani zalewajka, chociaż gorole czynsto to mylą. Zasadniczo różnica je w zakwasie: na żur sie robi zakwas z mąki żytnij, a na barszcz z pszennej. Ale oprócz tego som tyż inksze różnice, o kerych niy byda wom łosprawiać, bo momy jeszcze pora potraw do łosprawiano.

#### ZAZDROŚĆ

Karminadle budzom zazdrość. No, jak ktoś je wsuwo, a ty patrzysz, to cie biere zazdrość, że tyż byś zjodł. A w niekerych okolicznościach to by ci nawet dali w pysk, bele ino dostać te karminadle.

Beztuż Oswald, brytyjski pilot, na kerego godali Osi, musioł sie kryć z karminadlami, kere dostowoł od cioci Marysi. Osi był w latach 40. jeńcem wojennym w obozie na Zgodzie, a Marysia była kuzynkom mojj babci. W młodości robiła na kranie we Hucie Florian w Świętochłowicach i jak szła na szychta, mijała obóz pracy na Zgo-



dzie. Osi jak ino wejrzoł, że Marysia idzie, to stowoł przy płocie i sie do niyj uśmiechoł. A że boł gryfny karlus, to i Marysia sie do niego tyż śmiała.

W obozie panowoł głód, strażnicy wykradali paczki żywnościowe więźniom, więc jak ciocia Marysia łobejrzała takiego wychudzonego, ale blank gryfnego synka, to sie pomyślała, że musi do niego coś ekstra uwarzyć. I ukulała karminadle.

Na karminadle trza mieć 2 funty miynsa mielonego, jedna żymła, jedne wajco, cybula, jedna szolka tartyj żymły, sól, pieprz i trocha fetu. Nojpiyrw trza cebula pokroć w kostka i podmażyć na fecie. Do miski wciepnąć mlynso, namoczono żymła i wajco, a do tego ta cybula. Wymiyszać, doprawić solą i pieprzem. Ukulać karminadle, obtoczyć w tartyj żymle i smażyć.

Mie to nojlypiyj smakuje z bratkarfotlami i burokami, ale ciocia Marysia nie mogła sie na tela pozwolić. Zawijała te karminadle w cajtung, pora klapsznitów smarowała tustym i jak szła do roboty, to Osiemu te zawiniątko ciepała pod płotym, tak coby żodyn tego niy widzioł. Ale karminadle tak fajnie woniajom, że cijnżko to było ukryć. Beztuż Osi musioł rozdwa te karminadle zawijać, żeby sie żodyn niy kapnął. A Marysia prawie dziennie mu coś pod tym płotym ciepała, wcale niy po to, żeby sie przichlybić, ino z potrzeby serca.

I tak sie łod nich przonie zaczęło. Potym, jak boł nalot, Osi pitnął ze Zgody i pobiegł łod razu do cioci Marysi do dom, bo łona mu chyba pedziała, kaj miyszko. Ukrywół sie we szranku jakiś czas, potym wzięli ślub w Piotrze i Pawle w Świnyntochłowicach. A potym Osi zabroł Marysia i polecieli razem do Afryki, miyszkali w RPA. Ta ciocia miała późnijj jeszcze trzech chopów, ale żodyn niy był tak wielką miłością jak Osi.

#### OBŻARSTWO

Lubia warzyć po naszymu, czyli po ślonsku, ale odchodza od tyj tradycji, że na sobota rychtuja żur, a na niedziela nudelzupa i rolada z gumiklyzjami i modrą kapustą. Tak robiła moja oma, tak robiła moja mamulka, a jo – niy.

Ale łod czego som nasze mamulki! Jak łone nos zapraszajom w niedziela na łobiod, to wiymy, że bydzie wielgie łobżarstwo. Wołowo rolada, gumiklyzjy i modro kapusta. Razem: 901 kalorii.

Na rolada bydymy potrzebować 4 płaty miynsa wołowego, trocha szpyrki, cybula, 2 ogórki kiszzone, zymft, sól i pieprz. Mlynso rozbijomy tuczkiem, coby było cienkie. Kożdy plaster trza posolić i poszmarować zymftym. Cybula pokroć w kostka i położyć na miynsie. Szpyrka i ogórek tyż krojemy w drobne koncki i tyż kładymy na miynsie. Na koniec rolada trza ciasno ściś i zawiązać nitką. Obsmażomy na fecie i duszemy do miynkości, a zołza zagynszczomy mąką.

Gumiklyjzy? Bieremy: 1,5 funta kartofli, 3 jajca, mąka kartoflano i sól. Nojprzód trza uwarzić kartofle w lekutko osolonyj wodzie. Jak już bydom uwarzone, trza je łodcedzić i łod razu, póki som gorkie, przecisć przez praska. Dowomy mąka kartoflano i wszystko miyszomy na jednolito masa. I łostowo nojlypszo część: kulanie klusek. Jak sie je już ukulo, warto w nich zrobić małe wgłymbiyni, coby potym włoc do pojszodka zołza. No i na koniec uwarzyć w gorkij wodzie. Fajnie to tyż smakuje ze szpyrkami.

Coby uwarzyć modro kapusta, potrzebujemy modryj, czyli czerwonyj kapusty. Do tego cybula, szpyrka, a do smaku sól, cukier, pieprz i łocet. Kapusta trza uwarzyć w gorkijj wodzie i dociepnąć do niyj usmażone szpyrki z cebulom, a wszistko doprawić przyprawami.

Żeby spolić te kalorie, co się wmlóciło łoroz z roladom, kluskami i modrom kapustom – plus zołza – trza by bez godzina łązić po schodach tam i nazod, abo dwie godziny biegać po placu, abo skokać na skokance. Idzie tyż bez dwie godziny dować komuś po pysku, 13 godzin intensywnie spać, 22 godziny pisać esemesy, abo 82 godziny durś żuć guma. Ale jak się namówi do współpracy jakiegoś chopa, to idzie te 901 kalorii spolić we mniej niż godzina.

#### GNIIEW

Z mojoygo fatra to był gizd pieroński! Rojber, że rzadko! Na przykład w wieku lat trzech zdarzyło sie metalową trómpyjtą piznać w łeb sąsiadka, Przybylino. To była po prawdzie łod niyj wina, bo po pierona siedziała w tym łoknie, gowa wystawiono i ino patrzy wto kaj idzie, wto idzie nazod, kery chop ożarty wraco do dom, kero frela sie za winklem z absztyfikantym umawio na zolyty. No a mały Gynuś sie wzion trómpyjta, bo jego fater na niyj groł czasym, wychylił się bez łokno (piyntro wyżyj, nad Przybyłami) i jak nie zacznie dmuchać!

Larmo sie zrobiło niemiłosierne, Przybylino od razu zaczęła ryczeć: „furt, giździe pierziński, bo ci mazna!”, a mały Gynuś sie tak wystraszoł (abo znerwowoł na sąsiadka), że instrument ciepnął ij na łeb. I wtydy sie zaczęło prowdziwe larmo. „Czekej, chachorze, niech ino twoja matka wrócom z roboty, to łobejrzysz!” – wołała Przybylino z łokna i czimała zimny kompres na łebie.

Sąsiadka niy wiedziała, że matka Gynusia mo rewir i została w doma. Bajtel polecioł do izby i pedzioł o wszystkim mamulce, a łona wysztudirowała, co robić. Poszła do kuchni i zrobiła krepke.

Potrzebowała funt mąki, drożdże, szolka mlyka, 5 żółtek, cukier waniliowy, cukier puder, trocha masła, 3 kostki szmalcu abo liter łoleju, łyżka szpyrolu i džem. Krepke sie po leku robi, a smak dowo gwarant na szybkie udobruchanie. Mlyko wystarczy

lekutko zagrozić i rozrobić w nim drożdże z cukrym i mąką, a potem zostawić do wyrośnięcia. Żółtka utrzeć z cukrym waniliowym i dwoma łyżkami cukru, mąka przesiać do miski i włożyć tyn roszczyn i te utrzzone żółtka, a potem jeszcze dodać rozpuszczone masło i łyżka szpyrolu. Jak ciasto wyrośnie, to je trza rozwałkować – ale coby było rube – i wykrować szklonkom kółka. Dować dżem do środka i fajnie obkulać to w rynce, żeby miało kształt krepla. Trza rozgrzać trzy kostki szmalcu w gorku i wciepywać po pora tych krepli, a wreszcie wyciongnąć na talyrz i posuć cukrym pudrym.

Przybylino byli przepadzito fest, rubo tako, a maszkecić to by mogli cołki dziyń. To jak ino matka małego Gynusia usłyszała klupanie do dźwiryzy, łod razu wystawiła talyrz z kreplami w izbie i przywitała sąsiadka. „Przybylino, a może byście krepla zjedli? Po co sie nerwujecie, siednijcie sie lepij, zrobia tyju, to do krepla sie napijecie” – pedziała moja omka, a sąsiadka już prawie niy pamiyntała o tym, że ij mały Gynuś piznoł trójmpyjtą bez łeb.

#### LENISTWO

Dostałach kiedyś na świynta tako książka, w kerej jest cołki rozdział z recepturami na „leniwe popołednia”. Mo sam rozdział „Przed telewizorym”, „Na dyszczowe dni” i „Leniwe gotowanie w weekend”. I wiycie, co łone sam proponujom? Jezder, wy sie tego ani niy wyobrażocie! Na przykład: tajske curry z dyni. Albo: szałot z jagnięciny z miętą i granatem! No ludzie, kaj na leniwe dni takie wynalazki?! Jak jo sie chca zrobić leniwy dzień, to niy po to, żeby cołki dzień warzyć, pra? No ale Nigella Lawson chyba nigdy nie była na Górnym Ślonsku i niy wiy, jakie to jest warzyni do richtik leniwych. Kto wie? Kto to zgadnie? No toć, że wodzionka! I to jest richtik takie danie, że nojwiynkszo cimcia w grochu sie to bez problemu uwarzy.

Bieresz 4 sznity starygo chlyba, trocha czosnku, 2 łyżki szmalcu i sól. Gotujesz liter wody, czosnek przeciskosz bez praska i solisz. Sznity trza pokroć w kostka i wciepnąć razem z czosnkiem do talyrzy. Zalewosz to wrzontkiem i mosz wyborno zupa. Szybko i tanio.

Musza sie wom przyznać, że moje lenistwo, kere apogeum osiągo we weekend, sprawio, że jo wodzionka serwuja czasym w niedziela. Jo wiy, wiy, że to wstyd, ale tak robia. Pamiyntom, jak moja mamulka zaiwaniwała na mszo o 6 rano, a my, dzieci, razem z fatrem na 10. Mama w tym czasie ostowała w kuchni i warzyła niedzielny łobiod: nudelzupa, rolady, kluski, modro kapusta. Żeby to było takie wykwentne i dostatnie.

A jo, zamiast kultywować ślonskie łobyczaje, robia wodzionka. No robia. Dziynki tymu moga sie przy niedzieli iść z synkiem do kina albo na szpacyr z rodziną i nie musza stoć przy bratrulce cołki dziyń. Takie to jest moje lenistwo.

Jeronie, tela bych wom jeszcze połosprowiała! Bych wom łopowiedziała o panczkraucie, kery uwielbiom, o szałocie, o pieczonkach, o siemieniotce. Ale to na drugi roz, ja?

We śląskim domu baba mioła potrójno misja: Kirche, Kuche, Kinder. Kościół, Kuchnia, Dzieci. Trza było rodzic, oporządzać i wychowywać dzieci, przygotowywać posiłki, przy kerych gromadziła się cało familijo, a potym pilnować, coby bajtle poradziły rzykać, coby w rocznica śmiyrca bliskich zamówić mszo, coby każdy członek rodziny szoł do kościoła. Kirche. Kuche. Kinder.

A jak niy mosz dzieci... to o kogo mosz dbać? Kogo uczyć rzykanio i wyganiać na mszo? Zostowo ci kuchnia. Możesz warzyć roztomajte ślonskie dania. Ale wto to zje? Sama niy poradysz. Jak człowiek jest som, czynsto traci motywacja nawet do warzynio. Blank prościj jest iść się zamówić do jednyj osoby pizza albo kebaba. Moja babcia kiedyś warzyła okazałe, trzidaniowe łobiody i kołocz na deser. No i kompot. Ale łodką dziadka wzion Ponbóczek do siebie, babcia mi pado, że ij się już warzyć niy chce. Że się woli zjeść sznita z tustym, abo uwarzyć kastrol zupy na pora dni i się to odgrzewać. Niy mom chopa, ani dziecek, miyszkom w ajncli, ale lubia warzyć, choby ino do siebie. I chociaż to brzmi tak smutno, i chociaż się robi trocha żol, to wycie... mie jest tak dobrze. A jak potrzebuja towarzystwa, to się zapraszom moje koleżanki, czasem tyż absztyfikantów jakichś. I mogą ich ugościć ślonskim jodłem, tak jak lubia.

A dzisioj... Dzisioj mom randka. Beztuż... fajnie mi z wami mijo wieczór, ale muszą zaroz iść. Bo momy na dziś potrójno misja. Trzy razy K: kino, knajpa i kręgle. I niy czuja się bez to mniyj śląską babą niż moja mama, moja starka abo jej starka.

*Prapremiera jednoaktówki „Rajcula warzy” w reżyserii autorki odbyła się 11 lipca 2014 roku na Scenie w Malarni Teatru Śląskiego w Katowicach. W roli tytułowej wystąpiła Joanna Wawrzyńska, scenografię wykonała Paulina Biskup. Współproducentem spektaklu została Instytucja Kultury „Katowice – Miasto Ogrodów”.*

*Więcej informacji o spektaklu:*

*<http://www.facebook.com/RajculaWarzy>.*

**Tomasz Niedziela**

OSOBY:

OJCIEC – wiek około 60 lat, mimo że mógł już być na emeryturze, nadal pracuje na kopalni

MATKA – młodsza od męża o 10 lat, nigdy nie pracowała zawodowo, prowadzi dom

SYN – wiek około 30 lat, górnik, pracuje na tej samej kopalni

*Rzecz dzieje się w mieszkaniu w normalnym bloku – 3 pokoje z kuchnią.  
Pierwsza scena 13 grudnia 1981, dwie kolejne 16 grudnia 1981. Przy każdej scenie  
na ścianie wisi kalendarz z wyrywaniem kartkami z odpowiednią datą.*

## SCENA I

*Ojciec wchodzi do pokoju Syna, który zbiera się do pracy na popołudniową zmianę.*

OJCIEC:

Kaj idziesz, synek?

SYN:

Do pracy ojciec, a gdzie mam iść o tej porze.

OJCIEC:

Niy ma żodnyj szychty. Tam sztrejkujom. Nikaj niy pódziesz. Ostaniesz doma.

SYN:

No, chyba mi ojciec nie zabroni iść. Jeszcze by tego brakowało. Tam na mnie czekają. Teraz jak przewodniczącego zabrali, trzeba żeby wszyscy przyszli.

OJCIEC:

Godom ci, że nikaj niy pódziesz. Wszystkich was zamknom. Myślisz, że sie bydom z wami cackać? Tyn pieron w czornych brylach kozoł do was strzylać. Forsztelujesz se to? Nik ci niy pomoże, Ponboczek tyż. To niy jest naszo wojna.

SYN:

Niech ojciec przestanie tak mówić. To jest właśnie nasza walka. Już tyle osiągnęliśmy. Nie możemy tego zaprzepaścić. Musimy pokazać, jaką jesteśmy siłą! Po co było te półtora roku?

OJCIEC:

Wy i siła? Siła to som Ruskie. Już tu ros były. Jo tego niy widzioł, ale moja matka ja. Chcesz posłuchać, jak było? Przejadom po wos jak rolwaga i wos nie zauważom. Potym jeszcze roz i nic z wos niy zostanie. Tu niy trza być giejem. Tu trza żyć, synek. My tu som i tu bydymy.

SYN:

Ojciec, ale po to żebyśmy godnie tu żyli, teraz musimy pokazać, że się nie poddamy. Nie będziemy całe życie zginać karku. Tu chodzi o naszą godność!

OJCIEC:

Ty mi niy fanzol o jakijś godności, w rzyci jom mom – i ty tyż! Jak cie wyciepnom z roboty, to co? Pamiyntyj, Poloki nos zawsze majom za niyc i ty noj-pierw pódziesz weg, dopiyo potem insze.

SYN:

Tato, to my jesteśmy Polakami!

OJCIEC:

Synek, mój ociec beł we wszystkich powstaniach. W tym trzecim ledwie go odratowali, jak na Anaberg go trefili. I co mu ta Polska potym dała? Gówno! Niemce nie były takie. Mogli go rozstrzylać, a ino go do Wehrmachtu zabrali.

SYN:

To co, może jesteśmy Niemcami? Czemuś w takim razie nie pojechał do tego swojego Rajchu?

OJCIEC:

My som Ślązoki – sól tyj ziemi. I my tu zostanymy, tak jak ty zostaniesz dziś doma. I koniec godki!

*Do pokoju wchodzi Matka i przysłuchuje się rozmowie.*

SYN:

Ojciec, to nie te czasy. Ja już nie jestem dzieckiem i mam swój rozum. Jestem pełnoletni, dawno już skończyłem 18 lat, mimo że tego chyba nie zauważyłeś.

OJCIEC:

Ja, takiś dorosły, że durś ze starzykami mieszkosz? Nic w tyj gowie niy mosz!

MATKA:

Ojca trza suchać! On ci na pewno nie pokrzywduje. Siedź doma, niy ma kaj iść.

SYN:

Mamo, jeszcze ty? Przestań, myślałem, że mnie zrozumiesz. Nie musisz mówić zawsze to co ojciec.

*(do ojca):*

Teraz mi będzie ojciec wypominał, że tu mieszkam? A co, nie daję na mieszkanie, na jedzenie?

*(podniesionym głosem)*

Jak chcecie, to zaraz mogę się wyprowadzić!

OJCIEC:

Ty się, karlusie, niy unoś. Bydziesz siedzioł cicho, boś jeszcze durnowaty. Go dołech ci już, nikaj niy pódziesz.

MATKA:

Synek, jo cie nie po to chowała, cobyś sie doł zabić! Ty mi tu rzyknij, że nikaj niy pódziesz! Przysiyngnij sie! Ostatni roz cie prosza! Synek, ostaniesz doma, pra?

SYN:

Mamo, znowu będą mówili, że Ślązaki to tchórze, asekuranci. Ani w 56, ani w 68, ani w 70 i 76 nic u nas nie drgnęło. Pierwszy raz stanęliśmy jak cała Polska i co, znowu mamy to stracić? Znowu mamy stać się robotami?

OJCIEC:

Ja, synek, tak mo być. My momy ino ciebie. Matka by tego niy przeżyła. Dej pozór, bo jom do grobu wypyndzisz. Póda do dochtora i załatwia ci papiór, żeś chory.

MATKA:

Synek, ostaniesz doma, pra?

SYN *(zrezygnowanym głosem)*:

Zostanę, ale to nie jest w porządku.

## SCENA II

*Ten sam pokój trzy dni później. Wczesnie rano. Syn po cichu się ubiera. Do pokoju wchodzi zaspany Ojciec.*

OJCIEC:

Synek, co ty wyrobiosz?

SYN:

Tato, idę na kopalnię. Tak dłużej nie można. Dobrze wiesz, że dziś tam wejda. Nie zostanę dłużej w domu.

OJCIEC:

Dyc' my godali, że niykaj niy pódziesz. Matce żeś przysiyngół.

SYN:

Wszystko się zmienia. Nie będę więcej stał z boku. Muszę tam iść. Dobrze wiesz, że czasami tak jest, że trzeba iść. Tak jak twój ojciec wiedział, że trzeba iść do powstania, tak ja muszę iść tam teraz.

OJCIEC (*bardzo stanowczo*):

Ostaniesz i tyła. Jes ich tam doś.

SYN:

Nie tato, tym razem cię nie posłucham. Tam się dzieje historia. Wszyscy są razem. Czegoś takiego nie było od lat! Tato, to jest właśnie solidarność – ja tam muszę być! Nie możemy całe życie stać za czyimiś plecami. Musimy pokazać, że nam zależy, że Ślązakom też zależy.

OJCIEC:

Jak przydzie co do czego, to cie te Poloczki tam samego łostawiom, jak nos łostawiyły w 39. Tyż wojsko se poszło i my zostali sami. Fto sie miał bić – starzyki i bajtle? Ty tyż łostaniesz tam som. A potym przyjdom Ruskie.

SYN:

Tato, mylisz się. Nikt nie ucieknie, nikt mnie nie zostawi. Jakoś tam siedzą i nikt nie wychodzi. Zresztą nie będę się teraz z tobą kłócił. Muszę już iść.

OJCIEC:

Chcesz sie nos wyprzeć? Chcesz matce zrobić tako gańba? Jo cie tak nie cho-wo! Frela mosz, chcesz sie żynić!

SYN (*łagodnym tonem*):

Tato, ja już duży jestem. Już nie musisz się czuć za mnie odpowiedzialny. Nie martw się o mnie. Dam sobie radę.

OJCIEC:

Jo cie niykaj niy puszcza. Bydziesz mnie musioł stond wyniyść.

*Ojciec staje w drzwiach i je całe blokuje sobą.*

SYN (*tym samym tonem*):

Tato, proszę cię, nie rób tego. Ja muszę iść. Zresztą możesz pójść ze mną.

OJCIEC:

Po moym trupie!

*Syn podchodzi do ojca. Jest od niego dużo silniejszy. Łapie go wpół i kładzie na łóżku. Po krótkiej szamotaninie wychodzi.*



SCENA III

*W kuchni siedzi Matka. Wchodzi Ojciec.*

OJCIEC:

Zrób cosik do żarcia, dyć musza mu zaniysć, nie bydzie tam synek o głodzie siedziol. Pieron wi, czy majom tam co jeść. Chyba niy bydom głodowki zakładać.

MATKA:

Zrobia, zrobia. Ino uważej, jak tam bydziesz szoł.

OJCIEC:

Pierona, niy musisz mi godać. Nie jes zech karlus.

MATKA (*do siebie*):

Fto cie tam wiy.

*Ojciec siada w kuchni i czeka na jedzenie.*

OJCIEC:

Truda, a niy myślisz, że ón mo recht? Może richtyk jo jes za stary.

MATKA:

Nie godej gupot. Młodzi zawždy szli sie bić, ale trza mieć swój rozum. Niech idom Tomanki, ich je siedmiu. My momy jednego.

OJCIEC (*cicho, do siebie*):

Póda za niego.

*Matka kończy robić jedzenie, pakuje wszystko w paczkę.*

*Ojciec ją bierze i idzie w kierunku drzwi.*

MATKA (*robiąc znak krzyża, cicho*):

A idź tam z Bogiem...

*Ojciec wychodzi, nie odwracając się.*

*Po jego wyjściu słyhać fragment „Kołysanki” Jacka Kaczmarskiego:*

*„Tato był w kopalni,  
kiedy wojsko szło do boju  
Opowiadał górnik jeden,  
co uciekł z konwoju  
Opowiadał mojej mamie,  
że ich otoczyli*

*Tato z szuflą stał przy bramie i tam go zabili”.*

# POLDEK

---

**Gerhard Schneider**

OSOBY:

POLDEK

GERCIK – kuzyn Poldka

BABKA – matka Poldka, ciotka Gercika

ELZA – żona Poldka (za drzwiami łazienki)

*Stół, trzy krzesła, dwie szafy.*

POLDEK (*zbliża się wraz z odgłosami kroków na schodach*):

Skond jo wom wytrzasna zicherung ło ty godzinie!? Myślicie, że jo mom sklep? (*wchodzi*) Wybiyło! Mie tyz zaroz wybije! (*Elza głośno śpiewa*) Niy idzie sie wykompać po cichu!? Niy doś, że ci z dołu larmujom, to jescie ty! Nojlepi ło-tworz drzwi do mola i narob larma na cało ulica! (*w telewizji mecz Polska – Ukraina*) Ci tyz narobiyli tyła larma i dostali po dupie. (*gasi telewizor*)

GERCIK (*wchodzi*):

A ty skond ciongniesz?

POLDEK:

Z dworu.

GERCIK:

To tak jak jo. (*spogląda na drzwi*) A twoja zaś naprano?

POLDEK:

Po ślubie to zech ji kozoł śpiywać, żeby sie w wannie niy utopiyla. Ale pod prysznicym to niy mo prawa sie utopić. Nawet jakby była fest naprano i stoła tam bez dwie godziny... Inkszo sprawa, że jak czowiek stoi dwie godziny pod prysznicym, to niy mo prawa być naprano. (*pod drzwiami łazienki*) Jakbyś mi pedziała, że coś odymnie chcesz, tobych se przynojmi batki zminiył! (*zaczyno klamkać*) Przed cudzymi chopami sie niy zawiyros!

GERCIK:

Dej spokoj z babami! Tu ci poskwolo, a tu cie wycycko.

POLDEK:

Fto mie miół wycyckać, to juz mie downo wycyckoł. Ida sie bechnońć na dwie minuty. (*do siebie*):

Co to za moda zawiyrac sie na kluc?

GERCIK:

To my niy idymy dziś do roboty?

POLDEK:

Ja, do roboty... (*pauza*) Patrz, Gercik, koždy czowiek, jak idzie do roboty, to musi sie umyć i pojeś. A my sie zawsze pomyli. Teroz tyż to samo.

GERCIK:

Ja, ino wtedy to sie szło jeszcze pojeś. Teroz, jak co zjym, to zaroz mi sie zbiyro.

POLDEK:

A pamiyntosz, jakmy byli z Elzom w Ygipcie? Wtedy to czowiek umioł i pić, i jeść. Wtedy jo tyż musioł być fest nawalony, jakzech jeździył dołokoła na tym pontonie. Co zech to wrzescoł? „Tukej mie kameruj – tukej”!!! A karyjoka pamiyntosz? (*śpiewa, Gercik podejmuje*) „Du hast die schoenste Arsch in dem Welt”... Wszycy sie ciorali ze śmychu. (*dłuższa pauza*)

GERCIK:

Te, co łona tak ucichła?

POLDEK (*zaczyno mocni klamkać i klupać do drzwi*):

Łotwiyrej! Łotwiyrej w ty chwili!

BABKA (*wchodzi*):

Co to za larmo!? Jo mom drugi kluc.

*Babka otwiera drzwi.*

POLDEK (*wchodzi*):

Łony tu niy ma! Bez łokno wylazła!

*Babka wchodzi za Poldkiem.*

GERCIK:

Widać sie ji spieszyło.

BABKA (*wychodzi ze szminką*):

Ale lipsztyft miała cas zrobić!

*Poldek wchodzi.*

*(pauza)*

GERICIK:

Za Gerka, powiyw wom, tego niy było. Może było, ale niy take ofyn... Kurwy stoły za Pewexym! Teroz kaj niy wejrzysz. Bieres telefon, chces pizza zamowić, a tu ci kurwa do dom przyłazi...

*Samochód podjeżdża z piskiem, klakson.*

BABKA (*wychodzi do okna*):

Niy titej mi sam pod łoknym! Juz jom niy ma – pojechała! (*zamyka okno*)

*(do siebie):*

Dziosi szplapickorz...! (*pauza*) Ale coch to miała pedzieć, a niy scygnić? Coś żech zaczyna godać... Ja, ło tych Ruskich! Matka mojego kuzyna z Chybio zgwołciło trzech ruskich wojokow.

POLDEK:

Wiele idzie tego suchać!? Ciyngym ino jedno i to samo!

BABKA:

Puś se radio, jak niy chces suchać!

*(do Gercika):*

Patrz, pomyłył mie. Musza łod nowa... Matka mojego kuzyna z Chybio zgwołciło trzech ruskich wojokow. Poszła do oficera po wszyskym. Tyn kozoł jym stanońc rowno, żeby pokozwała, ftorzy to byli. Pokoz palcym, godo. To łona pokozwała: (*pokazuje*) tyn, tyn i tyn. Ani na nich niy wejrzoł, ino zaroz: (*pokazuje trzy strzały*) prask!, prask!, prask! Ja, łoficery były ynteligyntne. S niymi to szło jesce pogodać. Przyszli do nos i pytajom babki, cy jest spanie. A łona godo „auf dem Bodem” – to jest na ziymi – i pokazuje jym na palcach: Fynf, piontka dzieci w doma. To ino pokiwoł i poszed kaj indzi: „Nein, nein, im Bett...”. Niyميع to by te dzieci w łufcie łoszczas.

GERICIK:

Niy możecie godać na Niemca.

BABKA:

A cymu to?

GERICIK:

Bo na Niyemca sie niy godo.

POLDEK:

A zapłacom wom co z ty gazety?

BABKA:

Jo tam łod nich nic niy potrzebuja.

POLDEK:

Łoni tak radzi: pogodać, pogodać, piniondze do kapse i do widzynia. Ale jak wom ino zoleży, żeby se pogodać...

*Klakson pod oknem - raz, drugi, trzeci.*

POLDEK:

Co to sie wściyk!?

GERCIK (*wychodzi do okna*):

Klyjynta momy.

*Poldek wyjmuje z szafy czarny płaszcz, wkłada, owija wokół szyi biały fular, wkłada czapkę z daszkiem.*

*Gercik z pewnym opóźnieniem robi to samo, podchodzi do drugiej szafy.*

POLDEK:

Jo juz jest gotowy! (*wychodząc*):

Trombki niy zapomnij!

*Poldek i Gercik – dwa łapiduchy, identycznie ubrane – wychodzą; wyciemnienie, w tle dźwięk żałobnej trąbki.*

BABKA (*po krótkiej pauzie*):

Toż jednego dnia siadłazech na ustympie, w zopasce miałach jusz konsek chleba. Siedza tak i robia swoje i łomia tyn chlyb. Brałazech po trzy razy po takim małym konsku i za każdym razem, jakżech łykała pomału, to tysz pomału musiaľach do siebie godać: jym i srom, podź tysz ci dom; jym i srom, podź tysz ci dom; jym i srom, podź tysz ci dom... (*pauza*) A na drugi dziyń przyszła do mnie baba.

POLDEK (*wchodzi przebrany*):

Elza ji było. Ciepła sie z łokna.

GERCIK (*w stroju łapiducha*):

Tyś jesce niygotowy?

POLDEK (*nie reaguje*):

Wtedy jakbych jom chyciył za tyn gnyk i frygnoł bez tyn prykol, toby niy miała kaj furgać!

GERCIK:

Miołżeś baba – niy mosz baby.

POLDEK (*wstaje*):

Jak niy mom!?! Teroz mom wiela chca.

BABKA (*łapie się za głowę*):

Pieronie, zaś to!

(wychodzi)

POLDEK (*włącza komputer*):

Teroz dopiyo se połogłondos prawdziwe huldy.

(*po chwili: zmiksowane głosy kanału erotycznego*)

Możes jym zapłacić abo za darmo łogłondać...

GERCIK:

Po co jo jym mom płacić, jak moga za darmo?

POLDEK:

Za darmo niy wszystko chcom pokazać.

GERCIK:

Patrz ta! Co to łona mo do pokozanio! Na take chrosty to flostry! (*pokazuje palcem na inną*) Ta to ja! Ta mo cyce jak donice! Pogodać do nich tyz idzie bez tyn Internet?

POLDEK:

Jak zapłacis, to wszystko idzie.

GERCIK:

Ta tyz jes fajno. Co łona w ty gymbie łomyło?

(*nachyla się bliżej nad monitorem*)

Jeronie...!

BABKA:

Gasić mi to, ale juz! Bo wom zicherungi powykryncom!

POLDEK:

Patrzcie, tu tyz gwołcom! Niy trza Ruskich!

BABKA:

Niywstydziorzu, jedyn! Jakby matka żyła, toby ci pokozwała! Koniec s tym!  
(*wyrwa kabel*) A na drugi roz vos wodom łobleja!

(wychodzi)

GERCIK:

Jako ciotka łostro! Tyla mo lot, ale...! Pamiyntos, jak nom karty z gołymi babami spolyła, co je Hanek łod łojca z Rajchu dostof? Hanek to tyz był wypol. A jego łojciec dopiyo!

BABKA (*wraca z przenośnym radiem*):

To se lepi załonc...

*Śpiew ze śląskiego kościoła. Babka podejmuje:*

„Bądźże pozdrowione Drzewo Żywota,

Niech kwitnie niewinność, anielska cnota. Witaj Jezu, Synu Maryji,

Tyś jest Bóg prawdziwy, W śwynty Hostyji”

BABKA:

Do tego to wos niy ma!

POLDEK:

Jo jes trocha zachrapociały.

BABKA:

Plompies to zimne piwsko, jak niy mos być zachrapociały! Nojprzod piwsko, potym woda, i choroba gotowo. Z chacharami na piwo to ja! Tam to umis śpiywać! A do kościoła iś to juz za daleko! Jo tam niy patrza, cy jo jes zachrapociało, cy niy – jak ida do kościoła, to se musa pośpiywać. Miesionc tymu tyz my byli na pielgrzymce w Warszawie. Siadła koło mnie tako paniusia i mie pyto: „Po jakymu to śpiywocie”. To ji godom: „Po włosku!”. Jak ftoś sie gupio pyto, to jo mu gupio łodpowiadam.

GERCİK:

Niy godejcie mi ło ty Warszawie! (*pokazuje na nos*) Patrzcie, jaki mom nos krzywy. Tak mie te kurwy w Warszawie załatwiły!

BABKA:

Te z tego pieroństwa (*pokazuje na komputer*) tyz cie załatwiom. Łoglondej to dali, to bez galot łostanies. Tak jak Poldek.

POLDEK:

Za niydugo my wszyscy łostanymy!

BABKA:

To weźcie zaś siekyry, kneble, łańcuchy – narobcie larma! Warszawa mo wos downo w dupie!

GERCİK:

A co to jest ta Warszawa! Nic tam niy ma! Jedna dupno ulica do ty palmy – pora mostow i stadion! No i jesce Pałac... Pamiyntos, Poldek, jak my pitali do Pałacu?

POLDEK:

Pamiyntom, pamiyntom. Dopiyro jakzech wjechał na tyn łostatni sztok, to żech łobejrzoł Warszawa... Tak zaś niy idzie godać, że pora mostow. Srogo to łona jest...

GERCİK:

Ino ludzie take jak fropy! (*pokazuje wielkość korka*) A myślom se! Bo w Warszawie miyszkajom! Pamiyntos, jakżeś zagodoł do tego chopa? Co to my Elze szukali?

POLDEK:

A, ło tym godos! Wyciongom ta kartecka, pokazuja takymu chopu, co stoł koło mnie i godom: „Pokoźcie mi, ze ftory strony jes tyn Wilanow”. Zacon mi klaruwać, a potym wraził mi jom nazod do kapse i godo: „Jak zjedziecie na doł, to wom sie i tak wszystko popierdoli”. Jo se ino pomysłoł: „Jakbyś ty, chopie, u nos sjechoł na doł, toby ci sie tyz wszystko popierdolyło!”. Take som ludzie uprzyjme i inteligyntne w ty Warszawie! Jo godom - w Polsce ino kurwa musi być uprzyjmo i inteligyntno! To tak jakby w łokynku na poczie robiyła. Jakby sie kljynt poskarżył, zaroz by na pysk leciała.

*Auto zatrzymuje się pod oknem; głośna muzyka dochodzi z auta:*

*„Du hast die schoenste Arsch in dem Welt...”*

POLDEK:

Zaś jadom... *(coraz głośniej; Poldek wstaje)* Zaroz jym śleza!

*Podchodzi do drzwi, muzyka się urywa, odwraca się.*

POLDEK *(po krótkiej pauzie):*

U nos, na śmietniku, stoło „Hanyśy – Kurwy”... Przyszed dysc – „Hanyśow” zmyło, ino same „Kurwy” łostały...

*Uchyła drzwi, w drzwiach postawny skin.*

Porzond przychodzi mi tako jedna tyso kurwa i pise mi to na drzwiach...



# ŻYCIE SINFONIMUZIKERÓW W OBERSZLIZIEN

---

**Ryszard Stoecker**

PERSONY:

EMIL GELNICK – chop, 35-40 lat

RUDOLF FAJKOSZ – chop, 37-40 lat

JÓZEF SZTOJER – chop, 34-39 lat

NARRATOR

Didaskalia po polsku. Treść sztuki w języku śląskim.

*Późne lato 1945 roku. Świetlica kopalni Rokitnica. Na ścianie wisi plakat przedstawiający dwie górnicze wieże wyciągowe i kopalniane budynki na tle wschodzącego słońca. Na plakacie napis: „Rokitnica 29 lipca 1945. Poświęcenie sztandaru i otwarcie świetlicy”. Gdzieś obok przypięto hasło: „Kopalnie muszą być bastionem Polski Demokratycznej”. Mniejszych literami: „Gen. Dyw. Ob. Zawadzki. Z przemówienia na Pierwszym Ogólnopolskim Zjeździe Pracowników Przemysłu Węglowego w Katowicach, w dn. 29.4.1945”. Trochę nieładu świadczącego o częstych zmianach w wyglądzie świetlicy. O ścianę oparte są jakieś odwrócone obrazy, z boku umieszczono wielki stół, wokół którego znajdują się stare, drewniane krzesła. Jakieś paprotki i puste flakony na stole i na parapetach wielkich okien itp. Dwóch trzydziestokilkuletnich mężczyzn toczy rozmowę.*

EMIL GELNICK:

Ja, ja, Rudek, ty sie musisz uwierzić, że sam, na Śląsku, bez muzyki niy ma życia... Co jo żyja dzienki tymu, że jo je muzyk. Jak w trzydziestym dziewiontym one włonczoły do Rajchu Katowice, to jo sie znalaz robota w rundfunkorkiester, co obstalowali przy rundfunku w Kattowitz. Ja, ja, jo boł tam dirigent. Trzymolech taktstzok, a one, znaczy sie muzikery, grały szyjn melodye, choćby „Lili Marlen”.

(nuci):

uhmmmm, ajny kazerne, sztic alajn... uhmmmm.

RUDOLF FAJKOSZ:

Ty, Emil, dej se pozór, ktoś usłyszyc i cie wyślom ciulać w skała w Rusy, w Sybirien...

EMIL GELNICK:

Ja, jo boł najpierw die erste gajge, tyn najważniejszy w orkiester, a potym, jak ony wzięły do Wehrmachtu Achima Blaszkę, co boł dirigent, gebornen w Paniófty Szląskie, one mnie zrobiły direktor rundfunkorkiester Kattowitz...

RUDOLF FAJKOSZ (*przerywa*):

No ja, tyś przeżoł. A łon przeżoł, tyn Achim Blaszkę?

EMIL GELNICK:

A skond! Jego frau dostała nachricht, że łon zginoł jusz w szterdziestym, we Francji. Łon mioł jednego syna, tyż zginoł potym, na ostroncie, a mioł dopiero 17 lot. Óna pokazywała potym ajzekrojce, co jej chop dostał za bitwa. Jusz nie wiym kaj óna boła, kajś we Francji.

RUDOLF FAJKOSZ:

Wienc to, że łon boł muziker, go nie wybroniolo...

EMIL GELNICK:

Ale mnie wybroniolo! Jo zech jeszcze boł fynf monaten w tym rundfunkorkiester i mnie wzięli do afrikakorps. Żech dryjny i dryjny godoł, co jo je muziker aus Kattowitz rundfunkorkiester, aż się dostał do wertretung orkiester przy samym oberkommando der korps, a som Rommel doł mi uściskać jego rynka... Ja, ja trzi abo cztery muzikery przeżyli, bo ich wzięły Angliki do gefengensaftu, a potym puściły. Ale łone nie byli od nos, łone byli, ja, ja, jedyn z Ulm, zaś inkszy z Degendorfu, wiencyj jusz nie spamieniołech. Jo pamientom, że tylko fynf abo seks muzikerów z orkiester bóło zabityś za firera, jak jo boł dirigent. Mnie tyż wzięły Angliki jako gefangera, a nawet zech muk grać u nich, w rundfunkorkiester Manchester, ale mnie ciongło sam, do Hindenburga, bo zech mioł tu lipsta o imieniu Edeltraud. Ja, Rudek, gefrajtry, co mieli gewery, a niy grali nikaj, chyba ze cwanciś chopów z Rokitnitz, Hindenburga, Glajwic czy Königshüte boło zabitych, jak jo tam zech boł. Jo nie znom nikogo ze Ślonzoków z Rokitnicy abo Hindenburga, co przeżoł afrikakorps, a nie boł kajś w orkiester. Jak chop umioł grać choźby na cili, jusz go nie puszczali, dawali na jejigo pozór, coby nie zabili go za prendko. I bez to co drugi albo trzeci Ślonzok w Wehrmachcie groł na czymś. I to łony gównie przeżyli tyn krig.

RUDOLF FAJKOSZ:

Ja, muzik, muzik... Terazki nie byndzie muzik! Czytej sie, czytej się (*czyta, podnosząc kartkę*):

„Centralny Zarząd Przemysłu Węglowego organizuje bezpłatne kursy języka polskiego. Kursy są obowiązkowe. Uchylanie się od obowiązku uczestniczenia w kursie grozi odpowiednimi sankcjami karnymi, w tym zwolnieniem z pracy”. O, i drugi papier: „W związku z nieregularnym uczęszczaniem na kurs języka polskiego proszę kierowników oddziałów i sztygarów o zwrócenie jeszcze raz zainteresowanym uwagi, że nieuczęszczanie na kurs, spóźnianie się, jak również lekkomyślne opuszczanie kursu pociąga za sobą wydalenie z pracy, pod groźbą nieprzyjęcia nieposłusznych do żadnej innej kopalni. Tych, którzy zdecydowanie odmówili uczestnictwa, proszę podać kierownikowi kursu jako kandydatów do noty natychmiastowego zwolnienia”.

O, a tu: „Za nieuczęszczanie na obowiązkowe zajęcia kursu języka polskiego wstrzymuje się przydział cukru na dodatkowe karty żywnościowe na październik 1945 roku. Uzyskany w ten sposób cukier przeznaczają się na stołówkę dla uczestników kursu, którzy regularnie uczęszczają na kurs. W dniach 15 do 17 września (poniedziałek-środa) w godzinach od 15,30 do 17 w sali zajęć kursu winnych wzywa się o usprawiedliwienia nieobecności. Po upływie tego terminu winni zostaną usunięci z pracy bez możliwości przyjęcia na inną kopalnię”. Chcesz mieć cukier i w ogóle chcesz robić, musisz iść na kurs. Muzik se, chopie, możesz mieć w gowie, terazki się mosz uczyć jenzyka!

EMIL GELNICK:

A co, jo umia godać po polsku! To co my godomy to niy je po polsku? Przeca jo godom z tobom po naszymu, czyli po polsku, inakszej niżli z gefrajtrem z Wehrmachtu na froncie w afrikakorps!?

RUDOLF FAJKOSZ:

My godomy po szlonsku, a teraz sie bydymy uczoły godać po polsku...

*(chwila ciszy, a potem mówi dalej):*

A znosz ty te najnowsze wice? Ale za to grozi surowy sztraf...

EMIL GELNICK:

Jerunie, za firera tyz groziolo koncentrations lagrem. Godej, przeca nie pójda z tym do Rusów czy Poloków...

RUDOLF FAJKOSZ:

Jedyn żech słysoł w Hindenburgu, a tyn drugi na banhofie we Głajwic... Ja. No to je tak: Stoi chop w geszefcie Cyntrofarb koło banhofu w Hindenburgu i sie liczy: „firundcwajcich, fynfundcwajcich, zeksundcwajcich”. Z tyłu słyszy: „przestoń pan, jesteś pan Polak?”. Nie, odpowiada tyn, co liczoł – „jo jezd ino po szpecfarba, laku nie chcą”...

EMIL GELNICK (*lekko uśmiechając się*):

No a drugi?

RUDOLF FAJKOSZ:

F cugu obecnie pociongu, gejen obecnie jedzie, gebelka obecnie konduktor-ka, cug obecnie pociong, halten obecnie zatrzymuje sien, gebelka obecnie konduktorka, aussztagen obecnie wysiada, szrajen obecnie wreszczy: Głaj-wic obecnie Glywyce! Jakiś fargast obecnie pasażer, antwortet obecnie odpo-wiada: Sig haj! obecnie do widzynia!

EMIL GELNICK:

Ja, ja... (*blado się uśmiecha*) Za to się idzie do lagru i szmary biere po pysku łód funkcion oficjeren!

*Nagle z impetem otwierają się drzwi; wchodzi mężczyzna  
w podobnym do rozmawiających wieku.*

RUDOLF FAJKOSZ:

Co je, Józek, coś taki gibki...

JÓZEF SZTOJER:

Som dwa nachrichty – oba dobre! Żech boł u bracika w Bielsku. Tam na targu żech kupioł płyta do gramofonu. Emil, ty mosz taki w doma, to się posłuchomy.

EMIL GELNICK:

Ale co to je?

JÓZEF SZTOJER:

Chopie, nigdy niy zgadniesz.

EMIL GELNICK:

Amerykańskie szlagry, co boły przez Goebbelsa zakazane...

JÓZEF SZTOJER:

Niyy, jo to kupioł łód jednego Ruskiego...

EMIL GELNICK:

Ach, niy bynda słuchoł „Kalinka maja”! Rusy to puszczały dryjny z gośników, jak sam weszły.

JÓZEF SZTOJER:

Niy, to wom odkryja ta tajemnica: to jezd rusko synfoniorkiester, któro gro... kogo, zgadujcie. To wam powiem, bo nigdy nie zgadnicie: Richarda Wagnera! Tristan und Izolde, Tanhojzer, Zygfryd, jeronie, bydymy płakać, jak łony to szpilujom, jeronie...

RUDOLF FAJKOSZ:

Tyś je chyba gupi, Wagner szoł bez wojna w rundfunku, to je chyba terazki zakazane, Józek. I te Rusy majom zagrać Wagnera? Już to widza!

EMIL GELNICK:

Rudek, nie gap się na Józka jak byk na masorza. Ja... to nie je takie gupie. Rusy a Niemcy majom podobna dusza. Ony muszom być wziente za morda, to som artysty. I Rusy czujom wielka muzyka. To samo Niymcy. My, Ślonzoki, som trocha inne – my som jak Czechy, u nos folkmuzik je ważniejszo niż synfonii. Ale muzikalne my som! Barzi niżli Poloki. Ja, jo ci to puszcza, to je ciekawe, pokoż ino to... (*ogląda płytę*) Ja, Tanhojzer, uwertura, dyryguje jakiś Pawlow, a gro sztad sinfoniorkiester Leningrad... No ja, posłuchomy to w doma u mnie.

RUDOLF FAJKOSZ:

Jezdeś pewny, Emil?

EMIL GELNICK:

Ja, jo je pewny. Myśla se: my tysz by byli dobre w ruskich symfoniach...No, Czajkowski, Musorgski...

RUDOLF FAJKOSZ:

A fto to je ? Te, Hezus, jaki łon mondry, widać mo szule skończona.

JÓZEF SZTOJER:

Terozki cwajte nachricht – jo godoł z prezydentem Hindenburga Dubiel Pawłem i łon pedzioł, że Rusy się zgadzają, coby zrobić taka złożona z hajerów sztad orkiester! Óne decyzja zostawiają Polokom...

EMIL GELNICK:

Jezus, naprowda, on tak pedzioł?!

JÓZEF SZTOJER:

Ja, ja, to je prowda. Emil, ty znosz tych ludzi, co grajon nie ino na cyli, ale i na inkszych instrumentach. One som z Rokitnicy, Miechowic, Zaborza, Porymby, Hindenburga. Spisz mi jejich name, a jo się postarom, coby ony do ciebie przyszły. Ja, ale najpierwyj do mnie, tych, co nie som zapisane, to ich zapisza na kurs polskiego. Muzik nie muzik, ale muszom się pierwyj uczyć godać po polsku. Jo im spróbuja to wyłonacyć, co szlonski nie je to samo co polski, a że sie muszom na stare lata nowego jenzyka nauczyć. Got danke, on je podobny do szlonskiego, gramatyka przeca je tako samo, ino ty słowa, jak geszenk, gardiny, trza zastompić inakszymi, tymi polskimi.

RUDOLF FAJKOSZ:

Jo się boja, że się nie naucom. Łony myślom, że godajom po polsku, bo przeca niy po niymiecku godali ich starziki, a tyn je ich jenzyk...

JÓZEF SZTOJER:

Wiyom, wiyom, ale muru gowom nie przebijesz, niych się zapiszom na tyn kurs, bo jak niy, to bendom wrogi Poloków.

EMIL GELNICK:

One w większości robiom na dole. Ja, jo nie wiyom, czy niektóre sie zgodzom chodźć na tyn kurs jenzykowy, bo one tysz godajom, że przeca tak godajom w doma, z dzieckami, a godajom po polsku. Taki Achim Brast, co robi tera na przodku w Rokitnicy, to gro na poźonie. Łon im jusz pedzioł, że na żadyń kurs nie byndzie chodzioł, nawet jak mu obetnom cukier-karte. A jo go widza w orkiester, bo nie ma przeca drugiego, co mi groł na poźonie. Zaś tyn Jorg Sznupek z maszynowni to ci nie godo po naszymu ani trocha, to się może uczyć - można sie zapisze, łon gro na waldhorn. To się ciesza, bo niy ma takego sam, coby groł na waldhorn.

RUDOLF FAJKOSZ:

Skond to wiyisz?

EMIL GELNICK:

Łon się głosioł, jak jo pytoł chopów na grubie wto na czym umie...

RUDOLF FAJKOSZ:

To niy wiadomo czy łon richtiś umie...

EMIL GELNICK:

Przeca jo to sprawdza zarozki. Jo czuja, że łon kończoł muzikszule na tyj waldhorn, jo to czuja... Przeca by się nie głosioł – waldhorn to je rzadki muzikinstrument...

JÓZEF SZTOJER:

To róbcie ta lista, eny gibko, co sie Dubiel i Rusy nie rozmyślom!

RUDOLF FAJKOSZ:

Tego Jorga Gansere z G acht znocie?

EMIL GELNICK:

Niy, a wto to je?

RUDOLF FAJKOSZ:

Łon piynknie groł na mundharmonii na odpusćie w Annakirsze w Hindenburgu w czterdziestym roku, a potem go wzienli do krigsmarine i boł na ubocie. Łon godo, że łon przezoł, to tysz je cud...

EMIL GELNICK:

Ach, że groł na mundharmonii to jeszcze niy znaczy, że to je muziker, co się nadaje do filharmoniorkiester. Nie znom chopa, ale niych przyjdzie sam do świetlicy na próba, to zobaczą, czy je muzikalny i co umie. Jo znom wiencyj niżli drajcich chopów, co grajom, co można pedzieć – som muzikery...

RUDOLF FAJKOSZ:

Nie somście za barzo ambitne? Przeca możecie robić orkiester na śluby, lajcht muzik, romans muzik...

EMIL GELNICK:

Niy, chowie, to byndzie synfoniorkiester, cało filharmoniker, jak boło u Karajana. Taka co nie ma nikaj na świecie, bo robotniki bendom grać symfonia... Jo wiy, że jo poradza taka filharmonia zrobić tu, w Hindenburgu, z miejscowych chopów, nawet tych, co teraz ciulajom w skały na grubie...

JÓZEF SZTOJER:

No ja, Emil mo recht. Takich dancorkiester je już dużo, ale prawdziwa muzik je synfonimuzik. Jak łony godajom, że terazki jezd władza ludu, ja nu, to dejcie hajerom z Hindenburga szansa, coby boła sam symfoniorkiester. A łony nom ta szansa dajom! Przeca jo godoł z samym prezydent – Dubielem, łon to popiero, bo tysz je Ślązok. A jeden Rus, generał, to kończoł muzikszule we Moskwie i doł zgoda na ta filharmoniorkiester.

RUDOLF FAJKOSZ:

Jo rozumia, że mocie dużo placu na probe, ale skond weźmiecie instrumenty?

EMIL GELNICK:

Ach, no tu się už niy bój! Łony trzymajom je w doma. Jak muzikery w den-ciokach. Chowie, łony majom w domu niy ino violiny, ale tysz trompety, po-łżony, waldhorny i klarinety!

JÓZEF SZTOJER:

Godołech z Dubielem, łon byndzie godoł z grube-direktor Rokitnica, coby ich z doła zwalniali, jak bendom mieli probe...

EMIL GELNICK:

Ja, żeby tysz tak było na innych grubach, niy eny na tyj...

*Nagle bardzo głośno rozlega się fragment uwertury do opery Ryszarda Wagnera „Tannhäuser”. Muzyka głośno rozbrzmiewa przez prawie trzy minuty. W tym czasie pojawia się na ekranie film z wykonującą ten utwór orkiestrą – może to być znane nagranie Filharmoników Berlińskich pod dyrekcją Herberta von Karajana.*

*Po ściszeniu muzyki, która ciągle stanowi podkład pod dziejące się na scenie zdarzenie, pojawia się i wychodzi na pierwszy plan ubrany w smoking narrator.*

NARRATOR:

Proces wykluwania się filharmonicznej orkiestry w Zabrzu trwał jeszcze cztery lata. Wiosną 1950 roku prawie sześćdziesięciu ubranych w wyjściowe mundury górnicze symfoników zabrzańskich dało w sali przy ulicy Wolności w Zabrzu swój pierwszy koncert. W programie byli między innymi Rimski-Korsakow, Chaczaturian, Moniuszko. Tak powstała Filharmonia Górnicza Związku Zawodowego Górników w Zabrzu. Był to jedyny w Europie tego typu zespół orkiestralny. Muzycy Filharmonii Górniczej, w większości pracownicy śląskich kopalń, otrzymywali niewielkie wynagrodzenie. Wielu stało przed dylematem: czy pracować na kopalni za dużo większe wynagrodzenie, czy poświęcić się muzyce, bowiem próby i coraz większe wymagania artystyczne uniemożliwiały dzielenie innej pracy z pracą w orkiestrze symfonicznej. Muzycy z Zabrza w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych wyjechali na gościnne występy między innymi do Czechosłowacji, ZSRR, Japonii. Jerzy Waldorff wielokrotnie pisał, że poziom artystyczny Filharmonii Górniczej jest wyższy niż wielu państwowych orkiestr symfonicznych. W 1954 roku muzycy zdobyli I nagrodę na Festiwalu Muzyki Polskiej w Warszawie. Zespołem Filharmonii dyrygowali między innymi Grzegorz Fitelberg i Karol Stryja. Z zespołem występowali między innymi Bernard Ładysz, Andrzej Hiolski i wielu innych wybitnych artystów. W latach osiemdziesiątych Filharmonia Górnicza otrzymała tytuł Państwowej Filharmonii Zabrzeńskiej. Istnieje nadal. Ma teraz siedzibę w Zabrzu w Parku Hutniczym. Orkiestra składa się ze śląskich muzyków symfonicznych, najczęściej pochodzących z Zabrza, Rudy Śląskiej, Gliwic i okolic, którzy są już trzecim pokoleniem synfonikerów znad Bojtnery, jak się ich nazywa w Chorzowie czy Katowicach.

*Bojtnera – informacja dla nieznanających Zabrza  
– niewielka rzeczka, ściek, zwana też Bytomką.*

*Narrator kłania się dostojnie. Gwałtownie „wybuchą” muzyka,  
która dotąd była ledwie słyszalnym tłem dla narratora. Muzykę  
słyszą jeszcze około minuty, rozlega się coraz ciszej.*



# NIY URGEJ TAK, GOŁOMBKU, BO MI SERCE PYNKNIE, URGEJ MI TU INO GRYFNIE

---

**Grzegorz Sztoler**

## I

DZIOŁSZKA:

A cóż tak tam urgosz, gołombku.

Grrrchu... Grrrrchu...

DZIOŁSZKA:

Cóż ci to je...

Grrchuu... Grrrrchuuuu...

DZIOŁSZKA:

Mamo, mammo, przylecioł tu taki jedyn i tak zawodzi...

MATKA:

A cóż ta Hanka ta pleciesz...

DZIOŁSZKA:

Mamulinko, ale łon jakby ślimtoł... Ino tak gruchu, gruchu... Dyc wesoły gołomb inacyj gro...

MATKA:

A nałopowiadał ci ojciec gupot... A ty fto wierzysz...

DZIOŁSZKA:

Mamo, suchej...

Grrrchu... Grrrrrrchu...

MATKA *(po chwili milczenia)*:

Tyn gołomb je chyba coś nierychtyk... Łon sie tak jakoś kolybie... Hanka, łodyńdź gibko. Jeszcze co chycisz...

DZIOŁSZKA:

Ale mammo, dyc to je nasz gołombek, tyn łod tateczka, jego przichlast...

MATKA:

Padosz? No ja, ale tyn je taki chuderlok... Zabiydzony... Wylynkany. Dyc łon był taki fajnisty, wypasiony. A łóczka sie mu szklily... A teraski taki zdechlok... Co mu je? Kot go pogonił?...

DZIOŁSZKA:

Mamo, zaś...  
Grrrchuuu... Grchuuu...

DZIOŁSZKA:

Mamo, czymu łon tak płako?... Co mu je?

MATKA:

Nie wiym, Hanka, nie wiym. Jak przijedzie ojciec, to go spytomy, czymu tyn pieruch mu łuciyk...

DZIOŁSZKA:

A kiedy tata przidzie nazot?

MATKA:

Już zech ci godała, że pojechał na te torgi gołymbiorzy z ukiym Bronkiem. Juźby tu mieli być, zdo sie...  
Grrrrchu... Grchuuu...

DZIOŁSZKA:

Mamo, zaś... Siedzi na płocie i kwynko, tak jakoś... dziwnie...

SOMSIADKA:

Maryjka, Maryjka, włoncz ino gibko telewizor...

MATKA:

A co sie ta stało? Gołymbie osrały jakigo ważnioka?...

SOMSIADKA:

Maryjka, gorzj... Jesus Maria, jak ci to mom pedzieć... Mój chop też ta je...  
To sie wszytko zawaliło... Jesus... (*mdleje*)

MATKA:

Ty mie, dziółcha, nie strosz! Co sie zawaliło? Kaj sie zawaliło?... Boże... Weź mie nie strosz!... Co sie stało?  
Grrrrchu... Grrrrchu... Grrrrchu...

DZIOŁSZKA:

Mamo, mamo, co ci je...

Z TELEWIZORA DOBIEGA GŁOS DZIENNIKARZA:

Na terenie Międzynarodowych Targów Katowickich przebywało w chwili zawalenia się potężnej konstrukcji kilka tysięcy osób, hodowców gołębi wraz

z odwiedzającymi targi. Trudno w tej chwili powiedzieć, ile osób utknęło uwięzionych w szponach tysięcy ton żelastwa. Trwa akcja ratunkowa. Na miejscu są zastępy straży pożarnej, pogotowia i policji. Akcję utrudniają trudne warunki pogodowe – mróz i śnieg. Czy uda się kogoś uratować?

RATOWNIK:

Cuda się zdarzają...

## II

DZIOŁSZKA:

Mamo, zaś przylecioł...

MATKA:

Co łon tu robi, tyn podciep, nie było go cołki tydziyń...

DZIOŁSZKA:

Możne go tata przysłoł...

MATKA:

A co to łopowiadosz...

DZIOŁSZKA:

Dyć padałaś, że furgu tak jak te gołymbie... Wysoko...

DZIOŁSZKA:

Mamo, czymu płakosz?

DZIOŁSZKA:

Mamo, przytul sie do mie...

DZIOŁSZKA:

Mamo...

## III

DZIOŁSZKA (*śpiywo*):

Ty siwy gołombku, nie urgej na dombku,  
a nie rob moji miłej,  
wielkigo frasunku...

MATKA:

Hanka! Cóż to śpiywosz...

DZIOŁSZKA:

Tego mie tacik uczył..

MATKA:

A jo myślała, że to tyn zaś przylecioł...

DZIOŁSZKA:

Łon mi sie śnił, mamó...

MATKA:

Fto? Co za łon...

DZIOŁSZKA:

No, tyn gołombek łod naszego taty... Kiery ło niego tak dboł, futrowoł... Łon był rychtyk rod... I tak tacie urgoł... radośnie... Grrrrchu, grrrchu... Wiym, bo mi go tacik do ucha przykłodoł, tego gołombka... A tyn tak rod urgoł... Grrchu... Grrrchu...

MATKA:

Hanka, przestoń! Przestoń... Taty nima i nie bydzie... Gołymbi tyż. Przedane i tela. Wzion je jedyn warszawiok. Nie kca ich widzieć na łoczy... Przez te gadziny straciłach chopa, a ty łojca...

DZIOŁSZKA:

Mamó, mamó, nie godej tak...

MATKA:

Jak?

DZIOŁSZKA:

To som ptoki łod Ducha Świyntego, tego nos farorz uczy na religii...

MATKA:

Duch Świynty tak szpetnie nie osrywo wszytkigo...

DZIOŁSZKA:

Mamó, to by sie tacie nie podobało...

MATKA:

Co?

DZIOŁSZKA:

Pedziałaś szpetnie, że to gadzina...

MATKA:

Bo je...

DZIOŁSZKA:

To som świynte ptoki, mamó. Tacik mi to pedzioł...

MATKA:

Kiedy?

DZIOŁSZKA:

Dzisiaj w nocy...

IV

DZIOŁSZKA:

Miałach jo gołombka w klotce zawartego

Fto mi go wypuścił

do pola szczyrego...

(słysząc: Grrrrchu... Grrrrchu...)

DZIOŁSZKA:

Mamo, mamoz przylecioł! Przylecioł... Tak jak tatinek mi łobiecoł...

MATKA:

Co sie tam robi, Hanka? Co tam za harmider...

DZIOŁSZKA:

Mamo, przidź tukyj... Ło... siod se kole mie... Posuja ci ziorna...

MATKA:

Hanka, co tam wyprawiosz...

DZIOŁSZKA:

Mamo... Łon tu przylecioł...

MATKA:

Fto? Tyn somsiadow zdechlok, Pikuś...

DZIOŁSZKA:

Niyyy... Tatow gołombek... Godałach ci, że zaś przidzie...

MATKA:

Hanka... Boże, zmiłuj sie... Dziecko, co ty fanzolisz...

DZIOŁSZKA:

Mamo, śpiywałach i przylecioł...

MATKA (*wzdycha*):

Już tela czasu był świnynty pokój... Po pierona ta gadzina tu prziszła...

DZIOŁSZKA:

Łon przylatuje jak śpiywom tom pieśniczke ło urgajoncym gołombku...

MATKA:

Wygonia go stond, ino mie straszy...

DZIOŁSZKA:

Mamo, nie śmiesz, łon tu tyła czasu s nami miyszkoł...

MATKA:

Wiele to już czasu przeszło...

V

DZIOŁSZKA:

Mamo, patrz, przyleciały...

MATKA:

Fto, Hanka?

DZIOŁSZKA:

Podziwej sie bez łokno...

MATKA:

Jesus Maria...

DZIOŁSZKA:

A nie godałach, że tu przidom nazot wszystki...

MATKA:

Hanka, śniło ci sie to...

DZIOŁSZKA:

Tak mi tacik pedzioł. Że przidom, a łon s nimi. Nazot...

*(za łoknem gruchające stado gołymbi:*

*Grrrchu... Grrrchu... Grrrchu...)*

DZIOŁSZKA:

Mamo...

MATKA:

Jesu... Co? Co jeszcze ci łociec pedzioł...

DZIOŁSZKA:

Żebyś gołymbnik łotwarła... Łone tu przyleciały, bo łon ci chcioł pedzieć, że  
zawsze bydzie s nami...

DZIOŁSZKA:

Mamo... Nie płakej...

Grrrchu... Grrrchu...

DZIOŁSZKA:

Do pola szczyrego, na zielony dombek,  
A tam se zaurgoł  
Tyn siwy gołombek.

DZIOŁSZKA:

Mamo, zaśpiywej zy mnom... Mamo... Tacik patrzy... Przysłoł te świynte  
urgołki nom na pociecha...

# BOJTEL Z LACIAMI, CZYLI STARO MIŁOŚĆ NIY RUŚCIEJE

---

**Jadwiga Zgorzelska**

*Dorka krzóno sie przy urychtowanym do łobiadu stole. Idzie ku dźwiyrzóm, bo ktoś dzwóni. Filuje bez kuklok. Łotwiyro. Włazóm Gabi, Marian i Krystian.*

GABI:

Cześć, Dorka, godałach ci, że przidymy z niypodzianków.

*Witajóm się. Dorka prziglóno sie chopowi, ale niy wiy kto to jest.*

KRYSTIAN:

Widza, Dorka, że mie niy poznowosz. Niy dziwia sie, trozka zech sie postarzół bez te sztyrdziści łozim lot. A jo cie wczoraj na pogrzebie zarozki poznoł.

GABI:

Dyc to je Krystian Konieczny, niy pamiyntosz go? Synek z naszego placu, co wyjechoł do Niymiec, jak my jeszcze byli bajtle.

DORKA:

Nó toć, że pamiyntóm Kryśka. Niy umia uwierzyć. Ja, tera poznowóm po łoczach.

GABI:

Krysiek przijechoł na pogrzyb naszej ciotki Hyjdli, bo to tyż bóła łod niy-go ciotka.

DORKA:

Nic niy rozumia, ale seblykejcie sie.

*Seblykajóm mantle i szczewiki, a Krystian wycióngo z małego kofra bojtel z laciami.*

MARIAN:

Krystian prziszol z kofrym, bo zarozki po łobiedzie łodwozimy go do Pyrzowic.

DORKA:

Ale niy seblykejcie mi szczewików. Niy ciyrpia, jak goście elegancko łobleczóno, w ancugach i w bindrach, siedzóm u mie w laciach abo we fuzeklach. Zresztóm na dworze niy ma marasu.

*Krystian ciepie bojtel z laciami kole kofra i dowo Dorce srogi buket.*



DORKA:

Dziynkuja ci, piykne te róże. Ale niy stójcje we antryju, zaroz bydzie łobiod. Siadejcje.

*Włázóm do izby. Dorka stawio na stole jeszcze jedyn talerz.*

DORKA:

Richtich niyspodzianka. Ja, jo miała dwanoście lot, do szóstyj klasy zech szła, jak wyście wyjechali. Ino niy móglach zrozumieć, czamu żeś nic niy pedzioł. Dyć my sie fest kolegowali, a potym nagle żeś w tych Niymcach łostoł. Tela lot przeszło i tera żeś ekstra na pogrzyb staryj Tkoczki przijechoł. Niy pojmuja. I jeszcze godocje, że to bóła twoja ciotka.

KRYSTIAN:

Zarozki ci to wyjaśnia. Ale czamu zech nic niy pedzioł, że my w tych Niymcach już zostanemy? Jo niy wiedzioł, co tata z mamom sie wykómbinowali. Bracikowi i mie pedzieli, że jadymy ino na byzuch do ujka Herberta. Dopiyro we Niymcach nó m pedzieli, że już nazod niy pojadymy.

GABI:

Ale mieli my ci pedzieć, czamu na pogrziebie ciotki Hyjdli my się spotkali. Niy uwierzysz, ale to bóła siostra łod mojj mamy i łod taty Kryśka.

DORKA:

Niy pojmuja, żodyn ło tym niy wiedzioł.

GABI:

Ja, bo to bóła tajymnica. Cołko rodzina sie łod ni łodwrócióła.

DORKA:

Ale czamu? To bóła tako porządno baba.

KRYSTIAN:

My tego niy mogymy pamiyntać, bo zech ból mały bajtel, a Gabi jeszcze chyba na świecie niy bóło. Ale jak ciotce Hyjdli już było dwadziścia łozim, óma łokropnie się boła, że ji sie cera niy wydo. Tóż jak poznała Tadka, wszyscy byli radzi. A óma ani fest niy przezywała, że Tadek ból gorol. Przijechoł sam z Mazur, robota sie znod na grubie i sie z ciotkóm Hyjdłóm kajś poznali. Ale jak Hyjdla zacźła coś godać ło pryndkim ślubie i wszyscy już widzieli, że Hyjdli brzuch zaczyno rosnóć, łokozało sie, że Tadek je rozwiedióny i ślubu kościelnego niy bydzie. Tego było za wiela. Niy dość, że gorol, Hyjdla gańby tym brzuchym cołkij rodzinie narobiyla, to jeszcze na kocio łapa bydóm żyć, bo ślub cywilny do mojej ómy sie niy liczół. Łod tyj pory Hyjdla razym

z Tadkiym byli wyklynci. Jo dopiyro w Niymcach sie dowiedziół, że Tkoczka to je nasza ciotka.

GABI:

A jo jak żech miała piytnoście lot.

*Dorka przinosi waza z rosółym, nalywo na talyrze.*

DORKA:

Ja, ale Tkocz niy ból gorolym, łon sam prziszół ze Bielszowic.

KRYSTIAN:

Bo ciotka jeszcze wiyncyj nawyrobiała. Jak sie nasz kuzyn Hynieł urodziół, to żodyn niy wiy czamu, ale Hyjdla ze Tadkiym zaczi sie durch wadzić, i umisz sie forsztelować, łone sie rozwiydli. Wtedy to była wielko gańba. Potym ciotka wydała sie za ujka Gerarda i bez to nazywała sie Tkocz. Hyńka razym wychowali, fajnie sie sztyrdziści lot przeżyli, ale po tym, co ciotka nawyrobiała, żodyn już nie chcioł z nióm w rodzinie godać. Dzisiej żałuja, żech ciotce niy zdónzół pedzieć, żech jóm szanowół, ino niy było łokazji sie pogodać. Bez to żech na pogrzyb prijiechoł. Można łóna z tego nieba wszystko widzi, bo wie rza, że poszła do nieba, choć tela łostudy rodzinie prziniósła.

DORKA:

Niy idzie uwierzyć, jak to się wszystko zmiynióło, dzisiej żodnymu by to niy wadziyło.

GABI:

Ja. Naszego synka Sebastiana znosz, niy?

DORKA:

Ja, pamiyntóm go, jak wyście sie do Katowic wykcludziyli, łón już mioł siedym lot.

MARIAN:

A tera mo dwadziścia siedym i już dwa lata z dziółchóm miyszko i durch godo, że niy majóm czasu sie łožynić. My już nic niy godómy, bo tera take czasy, te mode cołkiym inaczyj myśłóm. Ale Gabi poszła ze synkiem do jubilera i mu godo, coby do tyj swoij lipsty choć piuszczónek kupiół, a niy durch jak te go role na kocio łapa bydóm żyć. Kupiół fajny piuszczónek. Jeszcze Gabi mu trocha dołóżóła, bo ból dość drogi, a i tak do ślubu sie niy spieszóm.

KRYSTIAN:

Takiego dobrego rosółu żech chyba nigdy niy god.

DORKA:

Żwyczajny rosół, zawsze w niydziela warza, jak dzieci majóm przyjść na łóbiod. Dzisiej przidóm dopiyro po połedniu, na kawa i kołocz, bo ziyńc mo

dyżur w robocie. Lubióm sie nikedy zjeść taki tradycyjny ślónski łobiod, bo w dóma cołkiym inaczyj jedzóm. Jak nikedy ida dó nich na łobiod, to zawsze cosik dziwnego wymyślóm, jakoś lazania, abo humus, a łod niydowna mój ziyńc robi suszi, to je tako japóńsko moda. Niy moga pedzieć, coby mi to sma-kowało. Widzicie, tukej móm łod mojjj rodzyńcia.

*Dorka pokazuje zdjyńcia, kere stojóm na byfyju.*

DORKA:

To je mój śwyntyj pamiyni Jorguś. To już bydzie wnet trzi lata, jak go niy ma.

KRYSTIAN:

A co sie stało, czamu tak młodo sie stracił?

DORKA:

Na zawał, nagle umarł. To je Beata z chopym i mojom wnuczkóm. Amelka już mo sztyry latka, łokropnie ji pszaja. Ziyńcia móm porzónдного, niy moga pedzieć. A to Ewelina, jeszcze sie niy wydała, choć już ji bydzie trzidziści dwa. Sztudyjowała we Katowicach, ale potym do Warszawy pojechała roboty szukać. Fajnie ji się powodzi, ale chopa niy umi sie znojsć.

KRYSTIAN:

Ja, take czasy. U nos we Niymcach tyż mało kere do ślubu idóm. Abo same żyjóm, abo na kocio łapa, a dzieci nikere wcale niy chcóm mieć, bo wolóm wygodne życie. Jo sie z Usióm łozyniół, bo te trzidziści pora lot tymu to bóło normalne, że jak zech chcioł miyszkać z dziolchóm, toch sie musioł z nióm łozynić. Ale dzisioj tradycjo już sie niy liczy. Bez to ciesza sie skuli mojygo synka. Poznoł Polka, nawet niy Ślónzoczka, ino Polka ze Krakowa. Przeklu-dziół sie tukej, do Polski. Usia do dzisioj niy umi tego szczimać. Jak sie dowie-działa, że nasz Martin na poważnie sie interesuje tóm frelkóm, co na praktyka jynzykowo do Köln przijechała, to już bóła nerwowo. Kasia tukej, we Krako-wie, germanistyka sztudyjowała, a tam ino na miesiõnc przijechała, coby tyn niymiecki jynzyk sie fajnie potrynować. Tóz jak mój Martin jóm ujrzoł, tak sie synek zakochoł, że już ło żodnyj inkszyj dziolsze słyszeć niy chcioł. Usia niy umiała tego zrozumieć. Synek durch do Polski jeździół, a jak na kóniec pedziół, że sie robota we Krakowie znod i się wykludzo do Kasi, to jo my-śłoł, że sóndny dziyń nastoł. Ryczała, że niy po to my już drugie pokolynie sie starómy, synka na prawdziwego Niymca wychowujemy, coby żodyn już niy mógl pedzieć, że łón je aussier. A łón teraski wszystko chce zmarnować. Jo ji tłumaczół, że take z nos Niymcy, jak z kozij rzici rajzentasza. Zawsze my w dóma po naszymu godali, choć niymiecki my dobrze znali. Zresztóm tera

my sóm w jednyj Europie, ludzie miyszkajóm tam, kaj im pasuje. Jo zech prawie cołkie życie we Niymcach miyszkoł, ale czuja sie Ślonzokiyem. Łóna niy chciała słuhać. Wadziyli my się ło to codziynnie. Łóna nigdy do Polski niy przijechała, coby synka łodwiedzić. Tyj Kasi, co ji go łodebrała, niynawidzi. Niy powiyem, coby my sie przedtym żyli jak dwa gołómbki, ale jak nóm synek wyjechał, to coroz wyincyj my sie wadziyli. A niy wiedzioł zech, że łóna sie spotyko z takim jednym chopym, co go w robocie poznała. Anich sie łobejrzoł, jak mi rogi prziprawiół. Jak to sie wydało i jo zech haja zrobił, to sie dó niygo wykludziół.

MARIAN:

Jakóż to, niy miyszkocie razym?

KRYSTIAN:

Niy, choć tera łóna już niy jest z tamtym chopym. Nikedy sie bez telefon pogodómy, ale niy umiyemy już nazod tego posklejać. Ale ciesza sie, że Martin z Kasióm sie sam fajnie żyjóm. Martin je informatyk, Kasia we szkole niymieckiyo uczy i niy chcóm miyszkać we Niymcach, a jo im fest kibicuja. Godajóm, że tu majóm dobrze, na drugi rok ślub planujóm, to možno sie tyż jakegoś wnuka doczekóm.

*Bez chwila nic niy godajóm. Dorka zbiyro talyrze i przinosi z kuchni kluski, rolady, modro kapusta. Łoroz dzwóni telefon łod Mariana.*

MARIAN (do telefonu):

Ja, my sóm na łobiedzie u Dorki, godolech ci, że przidymy dó vos na wieczór. Ale co sie stało? Niymożliwe, niy becz, zarozki przijadymy. Kaj? Do szpitala w Chorzowie? Ja, weznymy cie po dródze i pojadymy. Tata zasłob i pogotowie przijechało. Zabrali go do szpitala w Chorzowie. Gabi, musimy gibko jechać. Niy gorsz sie, Dorka, niy dokóńczymy tego łobiadu. Gabi, póđz. A ty, Krystian, niy starej sie, zadzwónia do Sebastiana, ło czwertyj po ciebie przidzie i cie łodwiezie do Pyrzowic.

*Marian i Gabi łoblykajóm się, dziynkujóm i wylažóm.*

KRYSTIAN:

Móm nadzieja, że to nic poważnego, że go pobadajóm w tym szpitalu i puszcóm do dóm. Zadzwónia do Gabi za godzina, možno już coś bydóm wiedzieć.

DORKA:

Jo myśla, że to sie dobrze skóńczy, teść łod Gabi ból zawsze w dobryj kóndycji. Łon dužo piechty łązi, w lato na kole jeđdzi. Žaluja, że musieli pojechać,

ale ty, Krysiak, jydz. Czekej, dóm ci na talyrz rolada, a kluski i kapusta sie weź sóm, bo niy wiym wiela zjysz.

KRYSTIAN:

Niy móglaześ mi wiynkszyj uciechy zrobić. Łostatni roz zech takie dobre rzeczy jod u mojjj ómy.

DORKA:

Tóż jydz, niych ci bydzie na zdrowie. Pamiyntóm, że co niydziela żeście jeździyli do ómy i ópy na Bykowina.

KRYSTIAN:

Jak ty to pamiyntosz, Dorka, że jo miał óma na Bykownie. Ja, co niydziela my na łobiod jeździyli. Łodświyntnie łobleczone, jak my z kościoła przišli, to zarozki my jechali. Przed jedzyniym musieli my wszyscy głośno rzykać, coby Pónbóczkowi podziynkować za wszystkie łaski i za te jedzynie. Pamiyntóm, jak mój bracik sie spytał, czamu niy dziynkujemy ómie, kero tyn łobiod uwarzół, ino Pónbóczkowi. Ópa musioł mu to wytłumaczyć, ale i tak niy zrozumioł, za mały ból. Jak my wyjechali, to zech już ani ómy, ani ópy nigdy niy widzioł. Na pogrzyb niy mógli my przyjechać, bo my z Polski uciykli.

DORKA:

Rozumia, przyjechać żeście niy mógli. Ale czamu do żodnego żeś nigdy niy napisoł?

KRYSTIAN:

Dorka, napisoł zech do ciebie.

DORKA:

Niy pamiyntóm, cobyh jakiś list łod ciebie dostała.

KRYSTIAN:

Nó bo jak zech już chcioł posłać tyn list, to tata mi go potargoł. Pedzioł, że lepij zapómnieć ło Polsce, żodnych listów niy pisać, bo to ino moge zaszkozić. Że tera we Niymcach je nasz faterland i wszystko musi być po nowymu.

DORKA:

To wyście do żodnego niy pisali? Ani do ómy i ópy?

KRYSTIAN:

Do ómy i ópy my pakiety posyłali, nikedy tyż do ujka Ernesta i ciotki Gizeli. Wiysz, to sóm łod Gabi rodzice.

DORKA:

A wyście umieli godać po niymiecku?

KRYSTIAN:

Kaj tam, ino ein, zwei, drei, jak każdy na naszym placu. Musieli my na sprachschule iść, a w tyj niemieckij szkole to żech nic niy rozumioł. Ale potym pomału musioł żech sie nauczyć. Mój bracik bół rod, łón mioł dziewiynć lot i to mu wszystko pasowało. A mie sie łokropnie cknioło za naszym placym. Ujek godoł, że to je normalne, tyż żech pomału sie przizwyczałół. Mama z tatóm fest sie starali, coby my gibko zaczli żyć jak normalne Niymce. Jak my już sie wykludzili z lagra i dostali my miyszkanie, tata już poszoł do roboty na budowie, potym mama zaczęła tyż trocha robić, to my już po dwóch latach sie przekludzili do wiynkszego, fajniejszego miyszkanio. Łóne chcieli, coby my z bracikym żyli normalnie, jak niemieckie dzieci. Niy moga pedzieć, materialnie my mieli coroz lepij, ale powiy ci, Dorka, dzisioj myśla, że te wszystkie zabawki, czekolada, bómbóny, kerymi nos tam futrowali, wołołbych zaminić na zwyczajne kanoldy, co my sie nikedy w naszej budce kupowali. Ale wtedy musioł żech sie cieszyć, bo w Polsce my biydnie żyli, a tam tela maszketów, lepsze miyszkanie. Nó wiysz, wszystko bóło lepsze. I tak mie pomału na Niymca przerobiyli. Kolegów żech tam niy mioł dużo, przeważnie to byli auslándry, abo takie aussieyndry jak my. We szkole niemieckie dzieci niy za bardzo chcieli sie z nami bawić.

DORKA:

Patrz, jake to je dziwne. Wyście musieli roz dwa nauczyć sie godać i pisać po niemiecku, a te gorole, co sam przyjechali, bez sztyrdziści lot niy dość że niy nauczyli sie godać po naszymu, to jeszcze sie aszóm i zdowo im sie, że sóm lepsze, bo niy godajóm, ino mówióm. Móm tako sómsiadka, pamiyntosz Zigusia Nowoka? Nó to Ziguś sie łożynioł z tóm Grażynóm, łóna ze Sosnowca dó nos przyjechała. Jak my roz wice łopowiadali po naszymu, łóna nic niy kapowała, wszystko my ji musieli tłumaczyć. Niy wiy co to je szrank, byfyj, ryczka. I jeszcze sie myśli, że to je elegancko niy rozumieć po ślónsku. Nasze dzieci niy sóm głupsze łod gorolskich. My tyż sie fajnie we szkole uczyli, nikere sie wykształcili i niy rozumia, czamu mieliby my być gorsze. Zresztóm tak to sie u nos wszystko wymiyszało, że krojczoków mómy tukej wiyncyj niż takich richtich Ślónzoków.

KRYSTIAN:

Ja, fajnie my sie uczyli, ale durch my po łapach dostowali, bo za każdy ślónski wyraz bóła jedna łapa. Na przerwach my sie godali po naszymu, ale na lekcji, jak sie kerymu cosik po ślónsku pedziało, zarozki musioł łapa nadsta-

wiać. Take to byli czasy. Łokropnie sie raduja, że my sie doczekali całkim inkszego traktowanio ślónskij godki. Tera to je szpan, choć te mode pokolynie już tak dobrze niy umi godać.

DORKA:

Wiysz, to zależy, moje dziolchy całkiym fajnie godajóm, choć sóm po wyższych sztydiach i żyjóm w trocha inkszym świecie, ale godajóm choćby całkie życie żodnego inkszego jynzyka niy znały. A przeca niy ino po polsku, ale tyż po angielsku, a Ewelina jeszcze po francusku umi godać. No a jak wyście do Nymiec pojechali, nauczyliście sie po niymiecku, choć myśla, że to wcale niy jest łatwe.

KRYSTIAN:

Ja, to je prowda, my tam jak nojpryndzyj chcieli prawdziwych Nymców udować. Ale czynsto żech myślał ło naszym placu, potym już nikaj niy miał żech takich fajnych kamratów i moga pedzieć, że jak żech miał te trzinoście lot, to sie beztroskie dzieciństwo skóńczoło. Pamiyntosz jak my sie po łogródkach góniyli? W strzałki my grali, a roz tako łokropno burza sie zaczęła i my sie skryli w laubie u Lizóniów. Do dóm my przišli dopiyro na wieczór. Dostoł żech szmary łód taty, bo sie ło mie boli, niy wiedzieli, kaj jo sie straciół.

DORKA:

A jak karasole przywiyżli, to my nojwiyncyj na tyn keciok czekali. Kryncyli my sie nikedy bez dwie abo trzi rundy.

KRYSTIAN:

Ja, na kecioku to bóła nojlepszo zabawa.

*Dorka zbiyro talyrze.*

KRYSTIAN:

Tak sie myśla, Dorko, że jak już póda na rynta, to niy wiym, co jo byda tam w tych Nymcach robiół. Jak łaża do roboty, to jeszcze wszystko gro, ale siedzynie w dóma to bydzie łokropne.

DORKA:

Nó a co byś tukej robiył na ryncie?

KRYSTIAN:

Tukej miyszko mój synek, pojezdziłbych sie po Polsce, jest tela fajnych miejsc, co żech jeszcze niy widziół, w karty z kamratami bych sie pogroł, na ryby bych nikedy poszoł. Niby w Nymcach to tyż moga robić, ale tak sie marza, coby tukej na stare lata przyjechać. Zresztóm tam sie ludzie tak niy kolegujóm, wólóm siedzieć same w tych wypucowanych dómach.

DORKA:

Ale jo znóm dużo takich, co nigdy niy żałowali, że wyjechali i tam sie szczyń-  
śliwie żyjóm.

KRYSTIAN:

Nikere sie łatwo przyzwyczaili, jak tukej bydnie żyli, a tam łoroz zaczęło im  
sie dobrze powodzić. Wiysz, Dorka, każdy je inkszy. Ja, te, co wyjechali, sóm  
przeważnie rade, choć znóm dużo takich, co muszóm sam regularnie przy-  
jyżdżać, coby - jak to łone godajóm - akumulatory naładować. Jo tyż sie lu-  
bia tu przyjechać, ale coroz czynści tak sie marza, coby tukej już łostać. Wiysz,  
kiedy mie to piyrszy roz naszło? Jak w łozymdziesióntym dziewióntym zech  
w telewizorze widzioł, jak tyn mur w Berlinie buyli, toch sie pomysłoł, że to  
tak choćby Polska i Ślónsk nóm sie przybliżyli.

DORKA:

Nó bo to je prawda. Tera każdy sie moge pojechać kaj chce miyszkać, bele  
roboła mioł. Dużo modych sie jedzie za granica pomiyszkać, a potym ju-  
zaś nazod przijyżdżajóm. Abo kaj indzi na pora lot jadóm. Jynzyków sie już  
w przedszkolu uczóm i potym niy muszóm sie boć, że sie niy dajóm rady. Jak  
myśla ło mojj wnuczce, co już zaczyno po angielsku godać, to nikedy żalu-  
ja, że my sie za wczas urodziyli. Te życie gibko ucieko, niy sóm my już mode.

KRYSTIAN:

Ale tyż my niy sóm blank stare, Dorko. A ty mi niy wyglóndosz ani na piń-  
dziesiónt lot.

DORKA:

Ja, fajnie umisz cyganić.

KRYSTIAN:

Ale to je prawda, zresztóm co ci byda godoł, ty żeś zawsze bóła nojgryfniej-  
szo z cołkiygo placu.

DORKA:

Zrobia kawa. Musisz jeszcze skosztować mojjgo kołocza.

KRYSTIAN:

Ja, tyn czas tak ucieko, ale kawa zdónża wypić

*Dorka przinosi z kuchni kawa i kołocz. Bez chwila nic niy godajóm.*

DORKA:

A w fuzbal umiołbyś jeszcze grać? Wyście durch ta bała kopali. A Dudzicz-  
ka bez łokno przeżywała.



KRYSTIAN:

Ja, bo jak Benat zamiast do bramki trefił w łokno łód Dudzików, to łona po-  
tym bóła nerwowo. Ja, myśla, że po leku bych jeszcze móg zagrać jakiś szpil.

DORKA:

Jak wyście bala kopali, to my przeważnie z dziółchami spotykali sie na klopsz-  
tandze. I niy ino te koziołki bóły ważne, tam my sie ło wszystkim rozprawiali.  
Żodyn synek niy śmioł podsłuchiwać, co my sie tam łopowiadali.

KRYSTIAN:

Ja, chopcy mieli inksze zajyncia, nikerych sie do dzisioj wstydzą.

DORKA:

Ja? A co wyście takego robilyli?

KRYSTIAN:

Trocha za duzo my chacharzyli. Na przykład jak szmaciorz kole naszego domu  
przeżyżdzoł, to my lecieli za tóm furóm, przezywali my go „haderłok” i nike-  
re kizłokami w niygo cieпали abo szczylali ze szłojdra.

DORKA:

Nó, niy powiył, coby to było móndro zabawa. A tego szmaciorza pamiyn-  
tóm, kożdo środa pod łoknami ryczoł, że szmaty kupuje. Gorki i nachtopy  
sprzedowół. Takiygo czornego, chudego kónia mioł.

KRYSTIAN:

Ja, Dorko, im dłużyj sie tak godómy, tym nó sie wiyncyj przypómino. Mógl-  
bych tak durch z tobóm siedzieć i rozprawiać ło tych biydnych, ale fajnych  
czasach. Ale byda sie musioł zbiyrać. Niy chce mi sie, ale musza, fliger niy  
bydzie czekoł.

*Dzwóni telefon łód Krystiana.*

KRYSTIAN (*do telefonu*):

Ja, Sebastian, już czekosz? Zaroz byda. A co z twoim ópóm? Do jutra bydzie  
w szpitalu? Ciesza sie, że nic gorszego, że jutro bydzie w doma. Za piynć mi-  
nut byda na dole, dziynkuja ci.

DORKA:

Jo tyż sie ciesza. Godałach ci, że łód Gabi teść tak łatwo sie niy do. Ło keryj  
mosz tyn fliger?

KRYSTIAN:

Ło szóstyj. Dziynkuja ci, Dorko, długo byda pamiyntać te spotkanie. Łobiod  
choby u mojjj ómy pińdziesónt lot tymu, nó i ta atmosfera, keryj nigdy niy  
zapómna. Fajnie my sie stare czasy powspóminali.

*Wstowajóm łód stołu, Krystian całuje Dorka w lico,  
idóm razym do antryju, łoblyko mantel.*

KRYSTIAN:

Aha, zapómniółbych moje lacie. Kaj łóne sóm?

DORKA:

Tukej... Ale wiysz co, Krysiiek, mogesz sie je tu łostawić. Schowia je do szran-ku, bydóm na ciebie czekać, jakbyś zaś kedyś przijechoł. Po co mosz je tela razy wozić.

KRYSTIAN:

Moga u ciebie łostawić moje lacie? Dorka, wiyńkszyj radości bych sie niy umioł forsztelować!

DORKA:

Ja, niy bydóm mi przeca zawodzać.

*Halo go po gambie, a łón jóm niyspodziywanie przitulo.*

KRYSTIAN:

Do widzynia, Dorka, zadzwónia zarozki, jak ino zajada.

DORKA:

Ja, byda czekać.

*Krysiiek wylazi, ale jeszcze na siyni łogłóndo sie i patrzy na Dorka.*







Instytucja Kultury

**KATOWICE**

*Miasto Ogrodów*

[www.miasto-ogrodow.eu](http://www.miasto-ogrodow.eu)

Egzemplarz bezpłatny

wydawcy:

Imago Public Relations

Instytucja Kultury Katowice  
– Miasto Ogrodów

**iM!GO**  
PUBLIC RELATIONS



Instytucja Kultury

**KATOWICE**  
*Miasto Ogrodów*

Patronat medialny

**gazeta**  
WYBORCZA

ISBN 978-83-63304-97-3